

# Bestie

Muszę zapalić. Przez to wszystko wpadłam w cholerny nałóg. Teraz to już zupełnie wyglądam jak jakaś artystka alternatywna: rozczochrana, z obłędem w oczach, odpalająca jednego szluga od drugiego. I chuderlawa. Jedyne plus całej sprawy, schudłam dziesięć i pół kilogramów. No kurde, żadna dieta nie da ci tego, co zwidy i wariactwo – dobrze, że nikt mi tego nie powiedział, jak byłam młoda, głupia, pulchna i dwa miesiące żarłam zawieszinę z kapusty, jak nic specjalnie bym się w psychozę wpędziła, byle zmieścić się w 36.

Teraz już na szczęście, czy nieszczęście może, młoda, głupia i pulchna nie jestem. Jestem... no, starsza, chuda i psychiczna. Noż improvement aż dupę z żalu ściska.

Wszystko się zaczęło... No, w zasadzie od tego właśnie, że byłam głupia. Głupia z matmy, głupia z historii, tępa jak tłuczek do mięsa z chemii i fizyki. Za to niezła z polskiego i języków. Ślepy fart i Opatrzność wysłały mnie na właściwe studia, gdzie wyszlifowałam umiejętności i skończyłam jako tłumaczka. Książek, tak dla jasności. A dla jeszcze większej jasności, nazwanie niektórych tekstów, które tłumaczę, książkami, to zbytek łaski. Nie jestem ani tak dobra, ani tak ambitna, żeby brać się za Literaturę przez duże L. Literaturę przez L małe też rzadko tykam. Specjalizuję się w – uwaga, uwaga – grach komputerowych i fanfikach do tychże gier. O ile granie jeszcze mogę zrozumieć, to za Chiny nie łapię, po cholere ktoś miałby czytać książkę opisującą grę. Ale co tam – nie będę darowanemu źródłu utrzymania w zęby zaglądać.

Ale wracając do ad remu: tłumaczyłam sobie radośnie te gry i fanfiki przez parę lat. Czasem trafiały się prawdziwe perełki, czasem gnioty straszliwe. Nie mnie oceniać, mnie to przełożyć z ichniego na nasze. Ale jakbym obojętnie do tego nie podchodziła, coś mi we łbie zostaje. Jakieś tam skrawki fabuły, nazewnictwo, obrazki...

I dlatego nie miałam najmniejszych problemów z rozpoznaniem stada gderlingów, które zaczęły się w nocy przy krzakach pod moim domem.

No historia jak z filmu klasy D normalnie. Tyle, że w takim filmie bohaterką byłaby chuderlawa niuńka z biustem a la arbuzy, wracająca do domu po ciężkiej wyczerpującej pracy, którą wykonuje nocami, żeby zarobić na studia, utrzymanie babci staruszki czy sfinansowanie innego szczytnego celu. Wycieczki na Hawaje na przykład. Ale jako że to był real, nie żadne filmidło, bohaterką byłam ja: metr sześćdziesiąt pięć, rozciągnięty sweter i początki drugiego podbródka. I żadnych szczytnych celów nie miałam, tylko straszliwie nieekologiczną plastikową siatkę z pięcioma wuzetkami, dwoma eklerkami i pączkiem. Taki mój mały rytuał z okazji skończenia roboty. Bo normalnie to ciastek nie tykam. W którymś odcinku Dilberta przeczytałam, że siedzenia rosną tak duże, jak im na to pozwala otoczenie. A ja mam duże, wygodne krzesło i siedzącą pracę...

No więc wracałam wieczorem z cukierni z tymi ciastkami, kiedy coś zaszurało w krzakach. Spojrzałam oczywiście, no i zobaczyłam ślepie. Czerwone. Jedne ślepie, drugie ślepie, trzecie ślepie... przy czwartych ślepiach było widać łeb. Gderling jak w mordę strzelił, tłumaczyłam

jakieś parę miesięcy wcześniej bestiariusz i dostałam egzemplarze autorskie. Tłumaczowskie znaczy. Zasadniczo takich egzemplarzy nie kartkuję nawet, bo z góry wiem, co tam stoi napisane, ale tym razem obrazki sobie obejrzałam z ciekawości. Kto by pomyślał, że mi się wiedza jak rozpoznać gderlinga, kiedyś w życiu przyda...

Wedle tej mojej nabytej wiedzy, jak się zobaczy gderlingi, najlepiej kazać drużynie sięgać po łuki i wystrzelać paskudy zanim podejda bliżej. I tu wyłoniły się pewne trudności.

Primo, nie miałam łuku.

Secundo, nie miałam drużyny.

Tertio, właśnie doznawałam wyjątkowo realistycznej halucynacji, co jak nic świadczyło o tym, że praca mi się na mózg rzuciła i powinnam pizgnąć tę całą fantastykę w cholere, przynajmniej na jakiś czas i zająć się czym innym. Na przykład tłumaczeniem poradników typu „Jak dobrze żyć”, „Jak schudnąć, jedząc ciastka” i „Jak samodzielnie wyleczyć sobie psychikę”...

Wobec powyższych mogłam zrobić tylko jedno.

Jak przystało na normalnego, zdrowego psychicznie człowieka, zignorowałam halucynacje. Niestety, halucynacje nie zignorowały mnie. Dopadły mnie przed wejściem do przedsionka, skurwysyny jedne, i zabrały mi ciastka.

Na klatkę schodową wpadłam w takim tempie, że niemal stratowałam faceta z pierwszego piętra i jego pudła. Miły był z niego sąsiad, ale jakoś tekst „niech pan tam nie idzie, gderlingi czatują!” nie przeszedł mi przez gardło.

Nawet nie przeprosiłam za to, że się z nim prawie zderzyłam. Po pierwsze, jak człowiek ucieka ratując swoje życie, to savoir vivre mu nie w głowie, po drugie, co się oszukiwać, długo moimi przeprosinami pan sąsiad by się nie cieszył.

Jasne, miałam kaca moralnego – i to kaca przez duże K. Zwłaszcza ze względu na pudła – zawsze byłam zdania, że psy są od ludzi szlachetniejsze. Taki pies to by na pewno zaszczekał, wzorem Lassie, ostrzegając wszystkich przed potworami. Ale ja nie jestem Lassie i szczekać nie umiem. Na drugim piętrze okazało się, że w zamek kluczem trafić też nie umiem, ręce mi się trzęsły potwornie. No i podskakiwałam na każdy szelest dochodzący z dołu, z góry i zza innych drzwi. Cholerna akustyka bloków.

Wreszcie mi się udało, wpadłam do mieszkania, zamknęłam wszystkie zamki, pod drzwi kopnęłam wszystkie stojące w przedpokoju buty, potem przesunęłam tam szafkę na buty – łatwo poszło, bo bez zawartości nawet lekka jest – i zniosłam krzesła z całego mieszkania.

Fakt empirycznie potwierdzony: budowanie barykady ze sprzętów domowych fajnie wygląda tylko w książkach, komiksach i filmach. Tak się zmachałam, próbując to wszystko jako tako ustawić, żeby nie spadało, nie łamało się, nie wisiało na słowo honoru i spełniało swoją docelową funkcję, czyli blokowało drzwi, że prawie zapomniałam, po co ja to robię.

Kiedy już wreszcie wszystko stało, nie spadało, i blokowało, mogłam sobie usiąść, odsapnąć, powachlować się frontem własnego t-shirta i wrócić do zdrowych zmysłów.

Przy tych zdrowych zmysłach, co to je niby miałam, zapaliło mi się jakieś czerwone światełko, ale nie zdążyłam przemyśleć głębiej tego tematu, bo zajęłam się ważniejszym problemem: czy gderlingi byłyby w stanie wejść przez okna?

Obleciałam mieszkanie w panice – okno w kuchni było uchylone, ale na szczęście w pionie, nie w poziomie. Gderling musiałyby się spłaszczyć maksymalnie, żeby wleźć przez nie, nie zostawiając śladów. A że śladów nie było, wyglądało na to, że domu mi nie zaatakowały. Pocieszające, ale nie do końca. Dalej nie wiedziałam, czy umiałyby się wspinać po ścianie bloku – albo po drzewach. Cholerne drzewa, co za kretyn zadrzewiał osiedla? Po co ludziom zieleń i cień, kiedy gderlingi atakują?!

Nie było co się oszukiwać, z oknami miałam problem do kwadratu. Dwa pokoje, kuchnia – wszędzie okna. Czemu ja sobie nie wstawiłam szyb pancernych? Takie zwykłe, co z tego, że podwójne, gderling raz-dwa zbije...

Na wszelki wypadek musiałam się jakoś uzbroić. I o prowiant zadbać.

\*\*\*

Ze sobą do przedpokoju zabrałam butelkę mineralnej, patelnię, dwa największe noże, pudełko herbatników, camemberta, paczkę chipsów, pomidora i sól. Z łazienki przyniosłam sobie dezodorant w sprayu – pomyśleć, że miewałam wyrzuty sumienia, że psikadła są nieekologiczne. A tu proszę, jakie przydatne – jak nic psiknięcie w ślepią powinno takiego gderlinga zabołec.

Z całym tym piknikiem bojowym rozłożyłam się pod drzwiami łazienki, na wprost mojej barykady blokującej drzwi wejściowe. Muszę przyznać, że nieźle mi się warowało. Żarcie miałam, napitek miałam – nawet zaryzykowałam skok do kuchni po butelkę wina – nie żebym miała się upić, wyłącznie dla odrobiny kurażu. Przecież nigdy nie walczyłam ze szturmującymi mój dom bestiami – z niczym i nikim w ogóle nie walczyłam, maksimum przemocy w moim wykonaniu to pociągnięcie koleżanki za warkocz gdzieś we wczesnych klasach podstawówki. Kuraż zrobił mi doskonale i zaczęłam myśleć, niekoniecznie trzeźwo, ale za to myśleć w ogóle. Pierwszą myślą było, że powinnam chyba postarać się o skierowanie do Abramowic. Te zdrowe zmysły, rozumiecie. Słusznie mi się zapaliło czerwone światełko, bo, kurde, kto przy zdrowych zmysłach barykaduje się przed potworami z erpegów? Zaczęło do mnie docierać, że mi odpierdoliło. Nie miałam pojęcia czemu – praca przy kompie? Za dużo czasu na necie? Telewizja? Ukryte choroby dziedziczne? Kurde, możliwości było zdecydowanie za dużo, zresztą pal licho przyczynę, ważniejszy był skutek. Zwariowałam. Spójrzmy prawdzie w oczy – halucynacje miałam. Omamy wzrokowe. Przez chwilę pożałowałam, że nie ćpam – gdybym ćpała, wystarczyłoby odstawić prochy i bestie by sobie poszły. A jeśli coś mi się w mózgu przepaliło... Własnego mózgu odstawić nie dam rady.

Napiłam się jeszcze wina, dobrze mi robiło na myślenie. Jestem wariatką, to raz. Dwa – mam zwidy. Trzy – nie mogę nawet nazwać się słodkiego na poprawę humoru, bo cholerne zwidy wyrwały mi siatkę z ciachami. Podłą, podstępłą siłą pozbawiły mnie źródła hormonów

szczęścia, odcięły od tego, co kocham najbardziej, i zeżarły same, świnie jedne, moje wuzetki. Jak barbarzyńcy, ciamkając i mlaszcząc obłeśnie. Miałam absolutną pewność, że ciamkały i mlaskały, chociaż w tym cholernym bestiariuszu nic na ten temat nie było.

No i przyznaję, tu mi rozumowanie lekko zaczęło zgrzytać. Halucynacje – jasne, medycyna zna takie przypadki. Halucynacje wyrywające ciasta? Coś mi tu nie grało. I chociaż oczywiście nadal byłam zdania, że najpewniej zwariowałam, to powstała straszliwa wątpliwość – a co, jeśli nie? A co, jeśli te sukinkoty są – nieważne, jak mało to prawdopodobne – prawdziwe, a ja uznam je za omamy i zignoruję zagrożenie? Już widziałam oczami duszy, jak potworki, korzystając z chwili mojej nieuwagi i beztroski, napadają na mnie i pożerają żywcem. Mlaszcząc.

To mlaskanie przesądziło sprawę. Nie miałam zamiaru dać się pożreć. Nic, kurde, z tego. Nie sprzedam tanio swojej skóry. W ogóle jej nie sprzedam. Będę się bronić, powiodę lud na barykady i takie tam.

Na pohybel gderlingom!

Pojawił się tylko mały, subtelny problem, a mianowicie: JAK mam się niby bronić. Rzecz w tym, że zawsze byłam pacyfistką. Błąd, teraz to widziałam. Modna ideologia sprawiła, że stałam się całkiem bezbronna wobec nieoczekiwanego zagrożenia. W filmach nigdy tak to nie wyglądało – w filmach zawsze była cała grupa ludzi, od razu wiadomo było, kto idzie na odstrzał, a główna piękna heroina i główny piękny heroin... tfu, heros, całkiem przypadkowo wyposażeni w idealnie ze sobą współgrający zestaw umiejętności umożliwiający zlikwidowanie zła wszelkiego, ze szczególnym wskazaniem na to aktualnie atakujące, obowiązkowo dożywali końca filmu i całowali się namiętnie na tle nadchodzącej świetlanej przyszłości.

Widziałam siebie w roli takiej pięknej heroiny, nie miałam z tym najmniejszych problemów. Jakieś pięć kilogramów mniej w całości, piętnaście centymetrów w biuście więcej, obcisły podkoszulek a la Lara Croft, a przy boku heros z twarzą Geralda Butlera. Ciało Geralda Butlera też mógłby mieć. I dużą, naprawdę duuuużą maszynową spluwę, którą wykosiłby wszystkie gderlingi. Ja miałam wiedzę o bestyjkach, on miałby brutalną męską siłę i razem ocalilibyśmy świat. A potem przyszłość, buzi-buzi i tak dalej...

Niestety, zaraz do mnie dotarło, że primo: tych kilogramów pewnie nigdy w życiu nie stracę, a centymetry zyskam tylko wtedy, gdy pójdę do chirurga plastycznego z pękiem gotówki i powiem „na Pamelę poproszę”. Nie, no, na to nie było szans, żadnych operacji plastycznych, musiałam sobie kupić nowego laptopa, wymienić kuchenkę, ZUS zapłacić... Zwyczajnie nie miałam warunków do zostania chudą seksbombą. Secundo: moja wiedza o gderlingach wcale nie była wyjątkowa, zaskakująca czy unikatowa.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz przyszczatego, lekko pulchnego gracza z przydługimi włosami związanymi w kucyk, który z podręcznikiem – zresztą tym tłumaczonym przeze mnie – właśnie podążał za ratującym świat Gerardem. No porażka. Pociężyło mnie tylko i wyłącznie to, że graczyk miał większą nadwagę niż ja. Z całego serca mu pożyczyłam, żeby się jej nigdy nie pozbył.

Gderlingi jakoś nie atakowały, więc zaryzykowałam skok do kuchni po drugie wino.

W lodówce znalazłam jeszcze piwo, też zabrałam do przedpokoju. Kuraż ważna rzecz. W tych niby-książkach, co ja je tłumaczę, nikt tak po prostu nikogo ani niczego nie morduje. Dyshonor to chyba byłby wielki. Wrogów morduje się: skacząc, wykręcając piruety, wydając donośne okrzyki bojowe, zadając starannie wymierzone pchnięcia, tudzież biegnąc na nich z wrzaskiem i wcześniej wycelowaną bronią. W tym ostatnim przypadku należy wroga chyba grzecznie poprosić, żeby stał w miejscu. Nie byłam pewna, czy gderlingi byłyby skłonne poczekać grzecznie, aż natrę na nie z nożem, nie wspominając już o tym, że w żadnych fanfikach, grach czy podręcznikach nie było nic o tym, po jakiemu z nimi gadać. Kuraż był absolutnie potrzebny.

Postanowiłam, że napiszę maila do producentów gry. Zdecydowanie pominęli bardzo istotny element tworzonoego świata. Karygodne zaniedbanie, które mogło mnie kosztować życie!

No, ale co takich wielkich amerykańskich producentów obchodzi życie jakiejś tłumaczki z Polski? Nic! Globaliści cholerni, gdyby nie te zanieczyszczenia środowiska, ozony, torebki foliowe i inne takie, gderlingów by nie było. Godzilli też. I żadne paskudne toksyczne opary nie szkodziłyby mi na mózg i psychikę...

\*\*\*

Nazajutrz dokonałam odkrycia, że sąsiad z pierwszego i jego pudel żyją.

Nie od razu to zauważyłam. Wpierw stwierdziłam, że cholernie boli mnie głowa. Potem, że cholernie boli mnie szyja. Plecy też mnie bolały, ale w chwili, kiedy to poczułam, odkryłam też przyczynę tego stanu rzeczy. Zwinięta w straszliwie niewygodny kłębek spałam przykryta szlafrokiem na dywaniku łazienkowym, tuląc do siebie patelnię i puszkę po piwie. Rzecz jasna, miałam kaca.

Powlokłam się do kuchni po wodę, kefir i jakieś proszki od bólu głowy. Najpierw pięć minut szamotałam się z drzwiami, które z jakiegoś powodu były zamknięte, potem potknęłam o garnek stojący na środku podłogi i stłukłam leżącą obok szklankę. Dopiero, kiedy zaglądałam w głąb lodówki, wypatrując wymarzonego kefiru, przypomniałam sobie, czemu zatrzasnęłam wczoraj z całej siły drzwi.

Przeszedł mnie lodowaty dreszcz i to wcale nie dlatego, że tkwiłam do połowy w lodówce. Bardzo, bardzo powoli wyprostowałam się, trzymając w trzęsącej się ręce kefir. I w tej samej chwili przez okno, zamiast hordy czających się na drzewach gderlingów, zobaczyłam sąsiada z pudlem. Całych, żywych i zdrowych. Na ile się dało stwierdzić, nadgryzieni też nie byli.

To mnie upewniło, że jak nic zwariowałam.

Uprzątnęłam z podłogi w przedpokoju mój barłóg, butelki po winie, puszkę po piwie i zgniecione opakowanie po deserze czekoladowym. Rozebrałam barykadę ustawioną pod drzwiami. Umyłam podłogę.

Mętnie przypomniało mi się, że w mojej przychodni jest coś takiego jak „poradnia zdrowia psychicznego”. Jak znalazł dla mnie. Nie byłam pewna, czy przypadkiem nie trzeba tam skierowania od rodzinnego, ale liczyłam na to, że w rejestracji mi powiedzą. Ubrałam się, zrobiłam makijaż, przed lustrem poćwiczyłam normalny wygląd zdrowej psychicznie osoby i już byłam gotowa do wyjścia.

Oczywiście mogłam spróbować uzyskać potrzebne mi informacje telefonicznie, ale z doświadczenia wiedziałam, że dodzwonienie się do rejestracji graniczy z cudem. Do przychodni miałam dziesięć minut drogi, o wiele prościej było tam po prostu pójść. Poza tym coś mi się kołatało po głowie, że spacerować na świeżym powietrzu są zdrowe i zalecane ludziom chorym. A ja niewątpliwie byłam chora. Miałam coś psychicznego i jeszcze odciski.

Wyszłam z domu, pokonałam chęć rozglądania się nerwowo na boki i ułamania jakiejś gałęzi z drzewa, żeby mieć łatwiej do obrony. Zresztą i tak bym nie dała rady jej odłamać. Gałęzie grube, a moja kondycja leżała. Zaraz po powrocie od lekarza miałam zamiar ją położyć jeszcze bardziej – ślinka mi ciekła na myśl o tych ciastkach, co mi je wczoraj nieistniejące gderlingi zwędziły...

I wszystko szło dobrze, póki nie doszłam do przychodni. Bo wtedy zaczęło iść źle. Bardzo, BARDZO źle.

Przychodnię, piętrowy post-zeszło-ustrojowy budynek w kolorze żółto-zdechło-kanarkowym obsiadły gderlingi. No, może niedokładnie obsiadły. W zasadzie skupiły się w okolicach wejścia, chociaż jeden cholernik wlaź na dach i teraz sterczał z głupią miną na rynnie nad pierwszym piętrem i kiwał się na boki, jakby myślał: „skoczyć? – nie skoczyć?”.

Reszta zawszonego towarzystwa trzymała się w stadzie: paru iskało się na schodkach, dwóch obgryzało szyld, jeden grzebał w koszu na śmieci, a czterech zaglądało przez okna do środka. Wmurowało mnie w chodnik przy skrócie do przychodni – a w tej samej chwili całe to towarzystwo jak na komendę odwróciło się do mnie i wytrzeszczyło ślepie.

A ja myślałam tylko o jednym: kurwa, nie mam ciastek, nie będą miały co jeść i zeżrą mnie jak nic...

Już zaczynałam się macać po kieszeniach, kiedy przypomniałam sobie, że te potworki nie istnieją, a ja zwariowałam. I przyszłam tu właśnie po to, żeby się zwariowania pozbyć. I halucynacji też.

Mężnie zrobiłam krok do przodu.

Gderlingi gapiły się nadal.

Zrobiłam drugi krok.

Ten, co się kiwał na rynnie, zleciał z wrzaskiem na mordę i zaległ na chodniku. Jeden z kumpli złapał go za nogę i nadgryzł, widać uznał, że świeża padlinka piechotą nie chodzi i nie ma co się bawić w sentymenty... Ugryziony wrzasnął, poderwał się na nogi i zaczął się tłuc z niedoszłym konsumentem. Prawie przy tym stratowali jakąś moherową babcię, co o laseczce zasuwała do drzwi przychodni.

Zrobiłam trzeci krok. Babcia może, to ja też.

Gderlingami w widoczny sposób targały sprzeczne pragnienia. Nie mogły się zdecydować, czy wgapić się we mnie, czy w tarzających się po chodniku współplemieńców. Postanowiłam skorzystać z okazji. Nie, żeby uważała, że one są prawdziwe, skąd. To tylko omamy. Ale gdybym zrobiła tak z sześć szybkich kroków, ominęła tego, co się właśnie odsunął, żeby go babcia nie zdeptała, to zdążyłabym wślizgnąć się do środka tuż za starowinką.

Rzuciłam się do przodu. Plecy babci i tył jej moherowego beretu były tuż-tuż, drzwi przychodni również...

I byłabym ich dopadła, zarejestrowała się do lekarza, może nawet wymogła jak najniższy numer, gdyby zza babci nie wyjrzał na mnie najprawdziwszy cholerny ork... Kurwa, czemu ja nie miałam halucynacji z Boromirem albo nawet, niech stracę, z kurdupłowatym hobbitem? No, czemu?

Dlaczego mi się zwidywały kudłate gderlingi i wielki, brudny ork, który przeciskał się przez drzwi od przechodni, przekrzywiając babci beret?

Nie, tego było już za wiele. Pierdzielić zdrowie psychiczne, poradnię, przychodnię i nzozy wszystkie razem wzięte. Ludzi mają, kurde, leczyć, a nie wypuszczać frontowymi drzwiami orki. Nie dość, że strajkują, to jeszcze ujawniają się jako kryptosauronowcy...

Poddałam się. Odwróciłam się i twardo udając, że nie widzę gderlingów ani nie słyszę chrapliwego sapania orka, oddaliłam się od przychodni w stronę sklepu, ze szczytnym zamiarem przepuszczenia wszystkiego co mam na koncie, na ciastka. I chipsy. I jakiś słodki pitny ulepek.

I wtedy dopiero zrobiło się bardzo, BARDZO, ale to BARDZO DO KWADRATU źle. Bo oni wszyscy poszli za mną...

Przez chwilę czułam cholerną ochotę rzucić się pędem przed siebie, prosto na dość ruchliwą ulicę, którą miałam kilkadziesiąt metrów przed sobą, i zginąć tam marnie. Nawet zdążyłam pożałować, że tędy TIRy nie jeździły...

Tylko że tak naprawdę to nie miałam ochoty umierać. Nawet mimo stada gderlingów, orka sztuk jeden i cholera wie czego, co szło za mną. Gdzieś w głębi duszy wciąż kołatała mi nadzieja na tego Gerarda z wielką spluwą... Metaforycznie rzecz ujmując.

Pierdolony optymizm.

Stałam na przejściu i czekałam, aż zmienią się światła. Ork przycupnął obok i kapał mi śliną na ramię. Znaczący KAPAŁBY, gdyby istniał.

Jeden z gderlingów próbował wyrwać się przed szereg i przejść na czerwonym. Tak, wiem, trzeba mu było pozwolić, a potem wkopać resztę pod nadjeżdżające samochody. Ale gdy sobie pomyślałam, że będzie tak leżał rozjechany na płasko, jak jakiś biedny zabłąkany piesek czy kotek... No litość mnie wzięła ...

– Stój, kurwa! – syknęłam wściekle. – Bo cię przejadą!

Stanął, a w zasadzie zamarł w pół kroku z mordą wykrzywioną w komicznym wyrazie zdumienia. Taki był z tej mordy paskudny, że aż rozczulający.

Noż kurde, co ja na to poradzę, że zawsze lubiłam zwierzątka? Co prawda pieski raczej, kotki, chomiki ewentualnie, ale kiedy tak na tego zaskoczonego potwora patrzyłam, to tak sobie pomyślałam, że kurde, gderling też w sumie zwierzę...

Tak, wiem. Jeśli się ma miękkie serce, to trzeba mieć twardą dupę. Albo wagon wuzetek na pocieszenie.

Z racji tego, że dupę miałam raczej grubą i miękką, musiałam ratować się wuzetkami. I torcikiem czekoladowym. I dwiema paczkami chipsów.

Naprawdę DZIWNIE się robi zakupy w wielkim hipermarkecie, z ogonem składającym się ze stada gderlingów i jednego orka. Bardzo dziwnie. No, gdyby ktoś poza mną ich widział, byłoby jeszcze dziwnej, ale na szczęście wariactwo i omamy wzrokowe są sprawą indywidualną i kiedy się człowiek postara, to nawet po nim nie widać, że jest wariatem.

Po prostu szłam przed siebie i udawałam, że nic nie wiem o kudłato-śliniącej się kupce nieszczęścia, która sunie za moimi plecami.

Kupka nieszczęścia na samym początku próbowała brykać, ale gdy jednemu gderlingowi ktoś przejechał wózkami po łapie, drugiego potrafił, trzeciego zdeptał, to przestali szaleć, zbili się w gromadę wokół orka i leżeli za mną, rozglądając się trwożnie na boki.

Właściwie, to było nie tylko dziwne, ale i zabawne. Łaziłam z wózkami po sklepie nawet trochę dłużej niż musiałam, jedynie po to, żeby całe to urojone towarzystwo biegało za mną, gubiąc się w alejkach, wrzeszcząc straszliwie, miotając się, żeby wreszcie znaleźć współbraci i w panice rzucić się z powrotem w objęcia odnalezionej sfory. Tylko orka nic nie ruszało, lazał tępo przed siebie i co jakiś czas kapał śliną na podłogę.

Kupiłam, co miałam do kupienia, zapłaciłam i litościwie wyszłam za sklepu. Potwory, kiedy tylko znaleźliśmy się na ulicy, zaraz odzyskały rezon. Kurde, zaczynałam się do nich powoli przyzwyczajać, w sumie, jak już nie próbowały mnie zjeść ani nic, to okazały się całkiem spoko... No, siatkę mi próbowały wyrwać.

– Won, bo przypierdołę – warknęłam wrogo. No dobra, może doszłam do wniosku, że nie są te potwory takie złe, ale wuzetki były moje!

– Kasia? – usłyszałam lekko zdziwiony, znajomy głos za plecami.

Noż kurczę podwójnie podpalane, musiało mi zesłać kogoś znajomego akurat, jak miałam ostry epizod wariactwa?

No, jak widać musiało. Usilnie postarałam się wyglądać normalnie i odwróciłam się do Mai, mojej niewidzianej od dwóch miesięcy koleżanki, sympatycznej, obrzydliwie szczupłej i pracującej w wielkiej korporacji. Co ona, do cholery, robiła o tej porze poza biurem? Dziesiąta rano to najlepsza pora na wyścig szczurów przecież!



– Cześć – wyszczerzyłam się nieszczerze. Cholera, dalej była chuda, do tego miała twarzową fryzurę, twarzowy płaszcz i w ogóle. Gdyby nie była sympatyczna, to bym ją znenawidziła. – Cholerne muchy – dodałam tytułem wyjaśnienia, komu to chciałam wcześniej przypierdolić.

Majka pokiwała głową. Może tylko mi się wydawało, ale jakoś dziwnie na mnie patrzyła. Ja za to starałam się patrzeć z życzliwą sympatią w oczach na nią, a nie z lekką paniką na gderlingi, które rozlały się wokół nas i z widoczną fascynacją oglądały sobie moją rozmówczynię.

– A ty nie w pracy? – zagałam, żeby uniknąć zapadnięcia niezręcznej ciszy.

– Właściwie tak, ale wyrwałam się na pół godzinki, muszę załatwić parę spraw. A ty?

– Zakupy. – Uniosłam trochę do góry siatkę z zakupami i w tej samej chwili tego pożałowałam.

Co jest gorsze od spotkania chudej, pięknej i świetnie ubranej koleżanki, podczas gdy samej ma się nadwagę, na sobie jakiś łach, nieumalowaną mordę, a powyżej mordy tłustawe kłaki? Otóż gorsze jest spotkanie chudej, pięknej i świetnie ubranej koleżanki, podczas gdy samej ma się nadwagę, na sobie jakiś łach, nieumalowaną mordę, powyżej mordy tłustawe kłaki, a w rękę siatkę z zawartością mającą circa ebałt miliard trylionów kalorii. A już zupełnie fatalne jest powyższe plus stadko gderlingów radośnie wydurniających się za plecami owej chudej koleżanki. Przynajmniej ork umiał się zachować, stał obok mnie, dyszał i kapał śliną na chodnik.

Maja, nieświadoma tego, co się dzieje za nią, sięgnęła po papierosy. Tymczasem ja, skamieniała, gapiłam się na gderlingi, które właśnie powzięły iście szatański plan i przystąpiły do jego realizacji. Wtedy, z rozpaczony zapewne i totalnej niemożności zapanowania nad własnymi cholernymi halucynacjami, podkusiło mnie do złego.

– Daj fajkę – poprosiłam desperacko.

Kumpela spojrzęła zdziwiona.

– Palisz?

Wzruszyłam ramionami. Odpowiedź „nie, ale muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć o gderlingach, które właśnie robią za twoimi plecami żywą piramidę, żeby z samego jej czubka mogły ci napluć na beret” nie wchodziła w grę, ale na szczęście nic nie musiałam mówić. Maja wyciągnęła pudełko w moją stronę.

Wyjątkowo nieumiejętnie wyjęłam jednego papierosa, przypalać go na szczęście już nie musiałam – jak nic by mi to nie wyszło, nigdy nie umiałam uruchamiać zapalniczek – bo Majka podała mi ogień. Teraz już tylko musiałam skupiać się na tym, żeby przypadkiem nie zakaszleć się niczym uczeń gimnazjum popalający pierwszego szluga na długiej przerwie za szkołą. Chociaż cholera wie, może teraz już w podstawówce zaczęli?

Zaciągnęłam się głęboko. Prawie mnie zadusiło i lzy stanęły mi w oczach, ale czego się nie robi, żeby uchodzić za normalną...

– Kiedy zaczęłaś? – zainteresowała się Maja. Znowu miałam wrażenie, że dziwnie na mnie patrzy.

– Niedawno – wychrypiałam. – Wiesz, praca, stresy... – Cholerne gderlingi skończyły robić piramidę. Teraz ten na chwiejącym się czubku próbował trafić śliną w czubek głowy Mai. – Sorry, muszę lecieć. Terminy. Zdzwonimy się, pa! – Zmyłam się pośpiesznie, razem z moją multikaloryczną siatką, wyłudzoną fajką i sapiącym orkiem za plecami. Kiedy mijałam Majkę, tak jakoś nieszczęśliwie krzywo stąpnęłam lewą nogą. Na tyle nieszczęśliwie, że gdyby, powiedzmy, jakimś cudem za jej plecami wyimaginowane potwory ustawiły się w piramidę, teraz ta piramidka by się rypla.

Gdy szłam wraz z człapiącym za mną orkiem do przejścia dla pieszych, za nami kulały, jęcząc z pretensjami, poobijane gderlingi. Dobrze im tak, paskudom. Szły, kulały, jęczały, zawodziły i ogólnie robiły wrażenie solidnie poobijanych i skrzywdzonych.

Tuż za przejściem dla pieszych zaczęło mi się ich robić trochę żal. I papieros mi się skończył, dziwne, jakoś szybko i łatwo się wypalił. Wróc, ja chyba go szybko i łatwo wypaliłam.

W połowie drogi przez osiedle doszłam do wniosku, że potraktowałam bestyje trochę za ostro. Nie ich wina, że są złe, podłe i złośliwe.

Przed klatką schodową złagodniałam na tyle, że dałam im z własnej woli jedną paczkę chipsów.

Gdybym wiedziała, że przez te cholerniki właśnie z kompulsywnej podjadaczki stałam się kompulsywną palaczką też im bym dała, owszem. W mordy.

\*\*\*

W ciągu kolejnych dwóch dni okazało się, że gderlingi owszem, umieją łązić po drzewach i lubią robić głupie miny, zaglądając przez okna, a ja ciągle myślę o fajkach. Aż nawet pomyślałam, że szkoda, że gderlingi raz: są wymyślone, dwa: tępawe, bo jakby nie były, to bym im dała kasę i posłała do kiosku po papierosy. A tak musiałam sama dyndać. Najpierw po jedną paczkę, potem po drugą, potem po trzecią... Kurde, w życiu się tyle nie nadyndałam do sklepu! Wreszcie poszłam po rozum do łba, pogodziłam się z nałogiem i zaczęłam kupować szlugi na kartony. Za to zrezygnowałam z ciastek. Bez przesady, jeden nałóg mi wystarczy. Poza tym, o ciastka się przymilały gderlingi. A jeśli im nie chciałam dać, to potem mi wyły za oknem. Nie na moje nerwy. Na szczęście nikotyny nie przyswajały.

Z tym, że zwariowałam, już się zdążyłam pogodzić. Fajki mi bardzo w tym pomogły. Nie wiedziałam tylko za bardzo, co mam z tym zrobić. W sumie wciąż najrozsądniejszym wyjściem wydawała się być wizyta u lekarza. Niestety, to najrozsądniejsze wyjście jakoś nie zachęcało.

Primo: nie wiadomo, co zastanę w przychodni. Jedno stado gderlingów i orka stamtąd już przywlokłam, cholera wie, co będzie za drugim razem. Hobgoblin? Olifant? Smok?  
W cholernych bestiariuszach pełno było gadzin i niegadzin, a ja mogłam trafić na każdą.

Secundo: nawet zakładając, że wytrenowana na harcujących mi za oknem gderlingach mężnie zniosę widok kolejnej gadziny tudzież ssaka, to perspektywa wizyty u lekarza, któremu po niewielkim gabinecie będzie ta cała menażeria latać, jakoś mnie nie zachwycała. Jak nic duchołap by się kapnął, że jest coś ze mną bardzo poważnie nie tak. Pewnie by mnie do specjalisty posłał. I tak bym przez parę tygodni wędrowała od specjalisty do specjalisty, ciągnąc za sobą stado wymaginowanych bestii, aż wreszcie dostałabym cholernie szkodliwe na wątrobę i inne narządy, zamulające, ale za to pozbawiające halucynacji leki. Albo by mnie zamknęli w ogóle. Albo jedno i drugie.

To by było wybitnie nefajne, zwłaszcza, że tertio: przez to wariactwo i tak już zrobiły się zaległości w pracy, terminy miałam szansę zawalić. Jakoś nie wyobrażałam sobie efektywnej pracy ani na oddziale zamkniętym, ani na głupim jasiu czy innych prochach.

A jeśli zawałę terminy, kasa pójdzie się bujać, zleceniodawcy się zrażą, nie będę miała na ZUS, na nową kuchenkę i na fajki, cholera jasna, też nie będę miała!

Wniosek: nie mogę się iść leczyć, muszę pracować.

Pozostawało tylko rozwiązać problem miotających się po rajskich jabłonkach gderlingów, bo w hałasie, jaki robiły, i z tymi ich wykrzywionymi mordami co raz przyklejającymi się do szyby...

Uznałam, że w takiej sytuacji jedyne, co mogę zrobić, to wpaść w maraton pracoholizmu. Nie tylko wyrobię się w terminie, ale kto wie, może nawet przez jedno wariactwo pozbędę się drugiego. Tak czy siak, będę na plusie.

Zgodnie z postanowieniem maraton rozpoczęłam. Zaciągnęłam zasłony. W uszy wsadziłam słuchawki mp3. Przerzuciłam się na odżywianie pizzą na telefon, dostarczanym przez pizzaboję sokiem i wodą z kranu.

I kurde, nawet podziałało. Do czasu.

Już prawie, prawie skończyłam. Ba, nie tylko prawie skończyłam: prawie skończyłam na dwa tygodnie przed terminem! Co prawda trochę jakby zmizerniałam, cienie pod oczami mi się zrobiły, dzinsy jakoś mi z tyłka zlatywały, a w całym mieszkaniu gęsto było od dymu papierosowego – nie mogłam wywietrzyć, bo gdy tylko odsłaniałam albo uchylałam okno, to cholerne gderlingi zaczynały się drzeć dwa razy głośniejsze. Tęskniły za mną, czy co? Ork się nie darł, za to cham jeden wlaź na klatkę schodową i umościł sobie legowisko na wycieraczce sąsiadów. Nie wiem, co robił, kiedy wychodzili do pracy albo wracali, ale co pizzabojowi drzwi otwierałam, to za nim widziałam śliniącego się na wycieraczce orka. Nie wiem, może lubił być deptany?

Generalnie było nieźle: owszem, świadomość, że zwariowałam i że za oknem, i drzwiami czekają na mnie nieistniejące potwory, była lekko irytująca, ale jakoś sobie z nią poradziłam. Miałam pracę i fajki, do tego niejasne podejrzenie, że chyba schudłam. W sumie nieźle było.

Oczywiście, gdy tylko się powie, że jest nieźle, to zaraz musi się coś popsuć i być źle. Standard.

Właśnie siedziałam nad wyjątkowo sztampową, przewidywalną i beznadziejną sceną. Oto cna dziewczyna, urody wielkiej, cnoty nienaruszonej i umysłowości leminga, wyprawiła się nocą na spacer po górskich lasach. No dobra, powody może i miała, ale jaka rozsądna dziewczyna, nawet mająca powody, polazłaby do lasu, o którym wszyscy wiedzą, że grasuje w nim Wielki Zły Potwór Zjadający Dziewoje? Lepiej chyba siedzieć nocą w domu pod kołdrą z własną cnotą do towarzystwa, zamiast leżać tam, gdzie nas mogą zjeść, przynajmniej moim zdaniem.

Autor też był głupi, bo zamiast skupić się na falującym łonie i innych atrybutach dziewczyny, opisywał florę leśną. Nie dość, że psuł akcję, to jeszcze zmuszał mnie do grzebania po słownikach w poszukiwaniu polskich nazw ziółek małych i dużych. Tak, bo każdego czytelnika najbardziej obchodzi, jakież ziółka mijała dziewczyna, idąc na spotkanie swojego przeznaczenia.

Przeznaczenie, przynajmniej wedle autora, składało się z wielkich łap, wielkich zębów i wywiniętego ogona, którym waliło po tym ogrodzie botanicznym. Prawdopodobnie poszczególne części były czymś ze sobą połączone, ale o tym autor wspomnieć nie raczył.

Siedziałam nad tym tekstem, przygryzając wargę i próbując przebić się przez wyjątkowo pokrecone, ohydnie poetyckie zdanie, kiedy coś gdzieś spadło. No, nie gdzieś, tylko w mieszkaniu, i to na tyle głośno, że przebiło się przez ścieżkę dźwiękową z Pana Kleksa, którą katowałam swoje uszy. Ściągnęłam słuchawki. Kiedy Zdzisława Sośnicka przestała mnie przekonywać, że jest moją bajką, okazało się, że moją bajką jest coś zupełnie innego. W przedpokoju coś człapało.

Obróciłam się w stronę drzwi. Gderling to raczej nie był, człapało coś większego... Ork też nie bardzo, on by nie stukał pazurami po terakocie. Nie zdążyłam wymyślić, co jeszcze mogłoby mnie nawiedzać wieczorami w moim własnym osobistym mieszkaniu, kiedy człapanie zbliżyło się do drzwi pokoju.

Wielkie łapy, wielkie zęby i wywinięty ogon były nie do pomylenia. Tyle że ten ogon, zamiast po botanice szorować, zwał mi książki z półek. I gwoli ścisłości, przestrzeń pomiędzy tymi jakże charakterystycznymi elementami była wypełniona, i to wypełniona cielskiem wręcz stworzonym do pożerania dziewczynów płci obojga i dowolnych rozmiarów. Niech się lewek z Animal Planet schowa...

Gderlingi w sumie były pociesznymi małpisonami z pociąganiem do cukrów i węglowodanów, ork tylko gnuśniał i się ślinił... Ale to... No, powiedzmy szczerze, dziewczynożerna bestia stająca nagle w drzwiach do pokoju to nie jest miły widok. Najpierw mi się zrobiło zimno, potem gorąco, potem jakoś dziwnie odrętwiałam, a potem ta cholerna potwora zrobiła krok naprzód, szczerząc te wielkie zębiska. No zeżreć mnie chciała, kurde jasne, jak nic... W końcu pod kategorię dziewczoj podpadałam, chociaż cnota już nie ta...

Nagle mnie olśniło. Skoro bestia była tylko wytworem mojego chorego umysłu, to, chcąc nie chcąc, była od tego umysłu zależna. Gdyby mnie zeżarła, mogłaby unicestwić przy okazji siebie. A nie wyglądała na taką, co ma skłonności samobójcze, wręcz przeciwnie. Pozostawała tylko kwestia, czy kociątko ma świadomość tego, kto jest podstawą jej egzystencji.

Bestia nadal się zbliżała, szczerząc się złowrogo, ale ja już nie miałam zamiaru dać się zastraszyć. O, co to, to nie. Moja halucynacja w końcu? Moja! To ja będę ustalać reguły. Może jeśli się nauczę to kontrolować, to sobie coś przyjemniejszego uroję...

– Pierdol się – zaproponowałam potworowi, sięgając po stojący przy biurku karton z sokiem. Jakoś mi w gardle zaschło. – Czy ja wyglądam na dziewczynę włączając się nocą po górskich ścieżkach tylko po to, żeby mnie jakiś pierdolony potwór zeżał? – Bestia nie wyglądała na taką, która rozumie sens pytań retorycznych, więc na wszelki wypadek sama sobie odpowiedziałam: – Nie wyglądam! Bo ja, do cholery, nie mam czasu się włączyć, ja tu pracuję! Więc wypad, ale już!

Poszła sobie. No, nie mogłam w to uwierzyć, ale sobie naprawdę poszła. Mogłabym uznać, że właśnie odniosłam megazwycięstwo i żaden psychiatra już mi nie jest potrzebny – pacjencie, lecz się sam! – ale jakieś piętnaście minut później bestii znudziło się zwiedzanie mojego mieszkania – a sądząc po odgłosach, wsadziła ten swój przerośnięty łeb nawet do szafki z garami – i przylazła z powrotem. Walnęła się na dywan i zaczęła chrapać. Noż kurwa, dobrze, że w szufladzie biurka miałam zapasowy karton papierosów, poszły dwie paczki.

Kiedy wypalałam ostatniego szluga z tej paczki, twardo usiłując pracować i nie zwracać uwagi na to „CHHHRRRRrrrrRRRRrrPSIUUuuu” za moimi plecami, dotarło do mnie, że konfrontacja jest nieunikniona. Nie mogę jej odkładać, muszę stawić czoło bestii. Powód był prosty – do kibla potrzebowałam pójść, a cholerny chrapiący dywanik futrzany mi leżał na drodze.

Zasejwowałam tłumaczenie, wzięłam głęboki oddech i odwróciłam się na krześle. Bestia dalej chrapała. Ułożyła się, świnia, na boku dokładnie w poprzek pokoju, a ze względu na rozmiary nie dało się jej ominąć.

Jedyną opcją było przekroczenie jej cielska, wzorem niejakiego Cezara Juliusza, co swego czasu przekroczył Rubikon, wspominając coś o rzucanych kościach. Miał gość rację, jeśli przekroczę bestyję, będą duże szanse na to, że obudzona gwałtownie rzuci się na kości. Moje.

Dobra, ja wiedziałam, że ona wymyślona była, nieistniejąca, a do tego grzecznie się odpierdoliła, jak ją o to poprosiłam. Ale naprawdę, kiedy się stoi obok masy zajmującej dwa i pół metra na metr, to nic człowiekowi po tym, że wie.

Trudno, powiedziałam sobie, że raz Kaśce śmierć. Wstałam, podeszłam do bestii i zaczęłam przymierzać się do pokonania przeszkody. Łatwo nie było, kiedy próbowałam precyzyjnie się bokiem, nogi zaplątały mi się w koci ogon i straciłam równowagę..

Nie, no kurde, jeszcze zanim pacnęłam zadem na to cielsko, to już skamieniałam ze strachu. I całym tym swoim z nagłą skamieniałym ciężarem runęłam bestii na brzuch tuż poniżej żeber. Zdaje się, że przepona tam była albo żołądek. Jakiś miękki, wrażliwy organ w każdym razie, którego uciśnięcie sprawiło, że potwór z nagłą otworzył ślepią, wytrzeszczył je, a z uchylonego pyska dobiegło coś jakby zaskoczona odrobinę, jęklive sapnięcie. No tak, pewnie nie przywykł, że mu z nagłą coś paca na przeponę.

Najpierw bestia była zbyt oszołomiona, żeby szczić o co biega, ale ja z kolei byłam zbyt skamieniała, żeby wykorzystać okazję do ucieczki. W rezultacie, kiedy te piętnaście sekund

później potwór jakby lekko oprzytomniał i spojrzał na gniotący go ciężar – znaczy mnie – to mogłam mu odpowiedzieć spojrzeniem szczerym i niewinnym.

Mogłam.

Ale zamiast tego skrzywiłam się nieprzyjaźnie.

– I co się, kurwa, gapisz, zawalidrogo jedna? – zapytałam wrogo. Jakiś odłamek mojego umysłu mówił mi, że właśnie zwariowałam do reszty: bluzgać na wielką zębatą bestię, kto to widział...

Zawalidroga nie wyglądała na skłoną do pożarcia mnie na miejscu, ba, wręcz wydawała się być skruszona.

– Człowiek nie może normalnie do kibla pójść – burknęłam, przełaząc wyjątkowo mało wdzięcznie przez rozwalone na dywanie cielsko. Stłukłam sobie przy okazji łokieć, co mi nastroju nie poprawiło. – Leżysz sobie i kurde, nie pomyślisz, że tu ludzie mieszkają – rzuciłam na odchodnym.

Kiedy wróciłam do pokoju, bestia leżała z boku, wzdłuż regału, starając się zajmować jak najmniej miejsca. Nie spała, udawała tylko, i ukradkiem łypała na mnie jednym okiem.

Chyba właśnie wtedy ostatecznie, na zawsze i nieodwołalnie przestałam się tych wszystkich potworów bać.

Gdyby to nie było życie, tylko film, po tym stwierdzeniu nastąpiłby szereg scen typu „ja i potwory biegnące ku sobie wdzięcznymi susami przez ukwieconą łąkę”, „ja i potwory na plaży na tle zachodzącego słońca”, „ja i potwory zasypiające słodko razem na mojej kanapie”...

Takiego wała.

W kwestii łąk były braki zdecydowane, trawniki osiedlowe się raczej nie kwalifikowały. Poza tym, jeszcze nie odbiło mi do tego stopnia, żeby płaść po trawie z potworami, których nikt poza mną nie widzi... Mówiłam już, nie śpieszyło mi się do wariatkowa, robotę miałam i terminy. Plaże w Lublinie były deficytowe, nie licząc tej nad zalewem Zembrzyckim, ale tam było zdecydowanie zbyt tłoczno. Na kanapie też słodko nie zasypialiśmy jednym stadem, bo bardzo szybko się okazało, że gderlingi mają pchły. I to całkiem realne, gryzące nie tylko potworki, ale mnie, a nawet pudła sąsiadów. Od jakichś kundli pętających się po osiedlu je złapały, jak nic. W związku z tą drobną dolegliwością dostały bana na wchodzenie do mieszkania, ale wcześniej zdążyły mi zapchlić fotel. I poorać tapicerkę pazurami.

Wypierniczyłam fotel i kupiłam u weterynarza środek na pchły. I tu się zaczęły schody.

Środek na pchły jak wiadomo – a w każdym razie jak na ulotce napisano – należy rozpylić na obiekcie zapchlonym. Jako że fotela już się pozbyłam, zapchlone zostały tylko gderlingi. No i wielką bestię zżerającą dziewice też by się przydało profilaktycznie popsikać. O orka się nie martwiłam, jakoś nie wydawało mi się, żeby jego łysa, nibygadzia skóra była dla pcheł atrakcyjna.

Z bestią poszło łatwo. Zaszłam ją podstępnie od tyłu, kiedy się wygrzewała przy drzwiach balkonowych i spsikałam. Obudziła się, kichnęła i poszła spać. Do nagłych pobudek była przyzwyczajona – ze względu na rozmiary wiecznie tarasowała dostęp do czegoś. Chyba traktowała to jako cenę sypiania w mieszkaniu, a nie na dworze.

Z gderlingami poszło gorzej. Primo, nie sypiały w mieszkaniu, więc nie mogłam ich zająć znieca i popsikać. Secundo, w ogóle nie były chętne do wystawiania się na sprej przeciwpchelny, ani z zaskoczenia, ani dobrowolnie. Tertio, cholerniki okazały się całkiem zmyślne i raz-dwa pojęły co chcę im zrobić. I uznały, że się nie dadzą.

Noż kurde, niczego innego mi do szczęścia nie było potrzeba, jak latać wokół bloku ze sprejem przeciwpchelnym za stadem nieistniejących futrzaków. Wspomniałam już, że nie mogłam iść do wariatkowa ze względu na sytuację zawodową. No, nie mogłam i już, nieważne, jak byłam szurnięta i co mi się zwidywało. Więc uganiać się publicznie za własnymi halucynacjami nie mogłam, musiałam podejść je sposobem.

Kupiłam dwanaście wuzetek, trzy paczki chipsów i puszkę rarytasu: orzeszków w chipsie. Sama bym chętnie to wszystko zeżarła, najlepiej na raz, ale musiałam pozbyć się pcheł – jakby i mnie oblażyły, to musiałabym się na tyso chyba ogolić. Wtedy to bym już w ogóle wyglądała niczym ożywiony szkielet albo inne zombi – chude, szalone i tyse.

Gderlingi rzecz jasna polazły za mną, kiedy poszłam po zakupy i przez całą drogę powrotną usiłowały albo coś wyżebrać, albo podwędzić. Ani jedno, ani drugie im się nie udało. Z całymi i zdrowymi zakupami dotarłam do domu, a gderlingom, nieszczęśliwym i obślinionym, zamknęłam drzwi od klatki schodowej przed nosem. Takiego! Póki się nie odpchłą, lokal zamknięty.

Przez cały dzień uwieszały się na gałęziach drzew za moimi oknami, wyczyniając różne sztuki, zapewne w nadziei, że w ten sposób skłonią mnie do dania im ciastek. A figę, wuzetki schowałam do lodówki, chipsy i orzeszki do szafki, żeby mnie nie kusiły. O to, że zje mi je wielka bestia nie musiałam się bać, zębate kotopotworocoś nie zdradziło jak dotąd zainteresowania żadnymi produktami spożywczymi. Nie wiem, czym się żywiła, w każdym razie nie wyczytałam w gazetach jakichkolwiek informacji o tajemniczych zaginięciach dziewic płci dowolnej. Niewykluczone, że i gderlingi były dziewicofagami – z pewnością za to były zbyt rozbestwione i zbyt chciwe, żeby zrezygnować z okazji do wyżerki, nawet jeśli słodczy zrec nie musiały.

Z domu wyszłam dopiero tak po północy, kiedy miałam pewność, że po osiedlu już prawie nikt się nie będzie pętał. Siadłam sobie z tym całym majdanem frykasów na schodkach przed klatką. Obok postawiłam sprej przeciwpchelny.

Gderlingi, gdy tylko mnie zobaczyły, zaraz rzuciły się w stronę siatki z żarciem, ale widok spreju skutecznie je przystopował.

Wyjęłam z torby jedną z wuzetek. Drugą ręką podniosłam sprej. Miałam nadzieję, że jeśli potworki załapały, o co chodzi z psikaniem, to załapią, że dostaną po ciachu, jak się dadzą popryskać.

Okazało się, że jednak są bardziej tępe, a może tylko bardziej chytne i bezczelne niż mi się wydawało. Co raz któryś podbiegał do ciastka, ale kiedy cofałam dłoń z przysmakiem,

a wyciągałam tą z psikadłem, to bestyjka wykonywała błyskawiczny strategiczny odwrót. A potem następna robiła to samo. I następna. I następna...

Już zaczynałam tracić nadzieję, że cokolwiek z tego będzie, kiedy wreszcie jeden z gderlingów, powłócząc nogami, jakby szedł przed pluton egzekucyjny co najmniej, podszedł bliżej. Nie kierował się w stronę mojej ręki z ciastkiem, tylko tej z psikawką.

Normalnie poczułam się, jakbym odniosła sukces pedagogiczny stulecia.

Gderling stanął nieruchomo. Ciężko było coś poznać po jego obrośniętej mordzie, ale chyba miał na niej wyraz desperacji. Nie czułam nigdy powołania do znęcania się nad zwierzątkami, więc raz-dwa opsikałam go dokładnie. Ledwo skończyłam, zwaiał, wyrwijając mi z ręki ciastko, którego nie zdążyłam mu podać.

Za nim przyszły następne.

Mój plan okazał się stuprocentowym sukcesem. A nawet stujedno, bo kiedy skończyła się kolejka gderlingów, a wraz z nimi skończyły się wuzetki, stanął przede mną ork.

Jak wspomniałam, jemu zapchlenie raczej nie groziło. Tylko pchła o specyficznych upodobaniach, jakaś sado-maso, mogła się przenieść na jego skórę. Nie było potrzeby go niczym psikać.

Ale stał przede mną...

Z jego mordy nigdy nic się nie dało wyczytać, zawsze była tak samo bezmyślna. Z postawy też nic – stał po prostu i wyglądało na to, że mógłby tak stać do końca świata, czekając, aż go łaskawie opryskam śmierdzącym paskudztwem, a potem dam ciacho...

Ciach już nie miałam.

Opsikałam go środkiem pchłobójczym, chociaż to było zupełnie niepotrzebne, i wręczyłam obie paczki chipsów i orzeszki.

Niech ma.

\*\*\*

Następnego dnia, kiedy odbierałam od listonosza polecony, mogłam poobserwować, jak sąsiadka z naprzeciwka zamiata okruszki, złorzeczając straszliwie na smarkaczy z czwartego. Ork siedział niżej, na półpiętrze, i z pełnym namaszczenia pietyzmem pożerał po jednym orzeszki. Wydawał się być tym zajęciem całkowicie pochłonięty, ale kiedy schodzący na dół listonosz go mijał, stwór podciągnął nogi, żeby się doręczyciel nie potknął. Miło.

List polecony nie był ani umową, ani rachunkiem do zapłacenia. Był, o zgrozo, straszliwie oficjalnym zaproszeniem drukowanym na czerpanym papierze, z jakimiś zawijaszami i innymi



cuda. Jeden ze zleceniodawców robił imprezę z okazji wydania czegoś czy pobicia rekordu sprzedaży – przez te zawijasy trudno było odcyfrować. Zresztą, okazja nie była ważna. Ważne było, że zleceniodawca – Ten-Który-Płaci, robi imprezę, na której będą Ci-Których-Warto-Znać. No i pewnie też całkiem niezła wyzerka...

W każdej innej sytuacji wydałabym radosny okrzyk, zaczęła się ślinić na myśl o żarciu i pożytecznych kontaktach zawodowych, a potem doznała klasycznego załamania w temacie „nie mam co na siebie włożyć”.

Co prawda dalej nie miałam co na siebie włożyć – z tych wszystkich nerwów schudłam te dziesięć kilogramów i wszystkie ciuchy na mnie wisały – ale czymże był ten problem wobec faktu, że nieustannie łąziła za mną moja osobista świta potworów i byłam stuprocentowo pewna, że uzna za stosowne podążyć ze mną na imprezę branżową...

Chciałam pójść, bo takie imprezy były fajne. Powinnam pójść, żeby zacieśnić więzi służbowe. W żadnym wypadku nie mogłam pójść, bo jeszcze by się wydało, że jestem wariatką...

Poszłam. W końcu wariaci nie postępują racjonalnie, prawda?

Odstawiłam się jak stróżycy w Boże Ciało, a to nie było łatwe. Nie z powodu gabarytów – na takim wieszaku, w jaki się zmieniałam za sprawą nerwów, wszystko dało się powiesić. Tylko najpierw musiałam sobie chociaż jedną sztukę z tego „wszystkiego” kupić, bo to, co miałam w szafie, spadało, opadało i sprawiało, że wyglądałam, jakbym się dobrała do szafy starszej, grubszej siostry. Albo nawet brata...

A skoro jedynym plusem wariactwa okazało się to, że byłam chuda – być może po raz pierwszy i ostatni w życiu – to zamierzałam ten plus wykorzystać. Po raz pierwszy kupiłam sobie mini. Spódniczkę mini.

Miałam zamiar pójść do sklepu i w upojeniu mierzyć przez kilka godzin ciuchy w niedostępnych mi dotąd rozmiarach, ale nic z tych pięknych planów nie wyszło. Ba, nie miało prawa z nich cokolwiek wyjść, skoro na zakupy polazło za mną stado krwiożerczych małpiatek i otępiały ork, tulący do łona pustą puszkę po orzeszkach. Kicia nie poszła. Jak zwykle wolała zostać w domu i spać na moim dywanie, zaśliniając go przy okazji. Jak na bestię seryjnie zżerającą wałęsające się luzem dziewice była leniwa jak cholera, nic tylko spać i chrapać. Za to gderlingi nadrabiały jej ospałość własną hiperaktywnością.

Świadomość, że tylko ja je widzę, wcale nie pomagała.

Do przymierzalni w sklepie nawet nie dotarłam, złapałam pierwszą z brzegu krótką sukienkę w na oko pasującym rozmiarze i poleciałam z nią do kasy. Ekspedientka może i nie zdawała sobie sprawy, że banda szalonych małpiatek demoluje jej sklep, ale mnie trudno było powstrzymać nerwowe podskoki za każdym razem, gdy gdzieś obok ze straszliwym łoskotem upadał zwalony stojak. To nie były warunki do zakupów. Padalce rozwaliły wieszaki, podarły wiszące na nich szmaty, a orkowi, jak zwykle ekspresyjnemu niczym słup telefoniczny, założyły na głowę damską spódnicę w kwiatki. Miał ją na głowie, kiedy całe to rozmałpione towarzystwo podążało za mną, gdy wychodziłam ze sklepu i przez chwilę strasznie się bałam, że ochrona mnie zatrzyma za kradzież... Nawet zaczęłam rozważać jak ja się z tego wytłumaczę? Że to nie ja, tylko gderlingi do spółki z orkiem? Na szczęście, mimo że bramki

zapiszczały, kiedy ork przez nie przechodził, ochroniarz go nie zauważył. Zerknął tylko podejrzliwie na urządzenie alarmujące, czemu piszczy samo z siebie, skoro nikogo nie ma w pobliżu.

Zmierzona w domu kiecka okazała się nieco za ciasna. Fatalistycznie założyłam, że zanim ją założę na imprezę, zdążę schudnąć z nerwów tak, że nie tylko będzie na mnie dobra, ale wręcz za luźna. Fatalistycznie i realistycznie, należałoby dodać. Jak na złość, moje halucynacje, już wcześniej uciążliwe, teraz chyba postanowiły mi dokopać na maksa. Gderlingi zawsze były zdrowo szurnięte i nieznośne, ale teraz przechodziły same siebie. Zaczęłam się dziwić, że osiedle, codziennie demolowane przez tę szaloną bandę, jeszcze stoi. To zdziwienie musiałam zresztą starannie ukrywać za każdym razem, gdy natykałam się na jakiegoś policjanta, strażnika miejskiego czy dziennikarza z lokalnych mediów, tropiących szajkę chuliganów, nawiedzających nocą LSM. Na całe szczęście, chociaż poczucie winy i odpowiedzialności nie dawało mi spać po nocach, to nie wypełzało mi na twarz. Tylko tego mi brakowało, żeby ktoś się zaczął interesować mną i tym, co wiem o destrukcji osiedla.

Ork nic nie demolował. Łaził jedynie za mną, ściskając w jednej łapie puszkę po orzeszkach, a w drugiej spódnicę wyniesioną ze sklepu i wywierał na mnie presję. Nie wiem, pod jakim kątem, bo ani nic nie mówił, ani nic po sobie nie dał poznać, ale czułam, że wywiera. Cholera wie, o co chodziło, nie o orzeszki chyba, bo kupiłam mu dziesięć puszek, a dalej czułam presję. Wkurzało mnie to.

Nawet kociak, dotąd w sumie bezproblemowy, jeśli nie liczyć chrapania i zastawiania drogi, nagle zaczął się interesować światem zewnętrznym, wychodzić z mieszkania... Jak nic zanosilo się na to, że na imprezę pójde z całym swoim potwornym orszakiem. Nieistniejącym, gwoli ścisłości.

\*\*\*

Nie myliłam się, polazły za mną wszystkie. Na nic zdały się pokrzykiwania, mniej i bardziej subtelne sugestie, żeby sobie poszły demolować jakiś plac zabaw, groźby, że już im nigdy nie kupię ciastek. Normalnie uparły się jak osły. Wnerwiło mnie to w końcu, olałam je i zamówiłam taksówkę, licząc na to, że za samochodem nie nadążą i zgubią się gdzieś po drodze, być może na zawsze...

Cóż, nie doceniłam siły własnych urojeń. Kicia i z pół stada gderlingów wpakowały się ze mną do taksówki. Nie mam pojęcia, jak się zmieściły, fakt, było cholernie ciasno. Kierowca trochę dziwnie na mnie łypał, bo siedziałam skulona na tylnym siedzeniu, starając się zajmować jak najmniej miejsca. No, ale to nie jemu gigantyczny zębaty kociak dyszał w kark.

Ork nie zmieściłby się do samochodu, za to znalazł sobie miejsce na dachu. Wgiął trochę karoserię, ale kierowca nic nie zauważył. Sądząc z radosnych okrzyków, jakie nam towarzyszyły podczas podróży, te gderlingi, którym nie udało się dostać do środka auta, radośnie obsiadły orka i korzystały z okazji do rozkoszowania się pędem i wiatrem w grzywach.

Postanowiłam, że z powrotem wracam piechotą. Nieważne, że zajmie mi to dwie godziny, odpadną mi nogi – bo z próżności włożyłam zalegające od lat na dnie szafy szpilki – ważne, że spacerki są zdrowsze dla mojej psychiki niż podróż taksówką w takich warunkach...

Nawet mi przez głowę przeszło, że może lepiej odpuścić sobie imprezę, wrócić do domu, zaszyć się w fotelu i pielęgnować w sobie złość i furję, aż urosną do takich rozmiarów, że rzucę się na te bestie i rozszarpie je gołymi rękami. Wizja była niezbyt przyjemna, bo jednak trochę te cholerniki lubiłam. Jeszcze lubiłam, bo aktualnie starały się jak mogły zapracować na szczerą i dogłębną antypatię. A poza tym musiałabym sprzątać z mebli, dywanów i ścian urojone pokrwawione strzępy i wnętrzności. Fuj.

\*\*\*

Po dwóch godzinach imprezy doszłam do wniosku, że krwawe strzępki, a nawet jelita zwisające z zyrandola są jednak kul. Bo impreza może i też była kul, ale mnie nie dane było się na niej dobrze bawić. W ogóle nie byłam się w stanie bawić. Do sali wdarły się co prawda tylko dwa gderlingi – jeden huśtał się pod sufitem, a drugi siedział pod stołem i ścisnął moją lewą nogę, ale niestety, knajpa miała duże okna. A za nimi, z nosami przyklejonymi do szyb, stało pozostałe dziesięć gderlingów, ork i kicia, i gapiły mi się żałośnie w talerz. I jeszcze na dodatek zaczęło padać, a fakt bycia zmokniętym dodał wszystkim tym potworkom jakieś sto pedeków do żalności.

Nawet się nie mogłam piwa napić, bo mnie w gardle dławiło. Skupić się na rozmowie z kimś też nie mogłam, bo w tym skutecznie przeszkadzały mi dwa obecne w knajpie gderlingi. Ten odważniejszy szalał po sali i podbierał ludziom żarcie z talerzy, ten tchórzliwszy przysrośł mi do kończyny i niewątpliwie już dawno podarł moje rajstopy na strzępy. Niewykluczone, że to co miałam pod rajstopami – czytaj: nogę – też już miałam w strzępach. Trudno było to ocenić, bo od trzymania w jednej pozycji całkiem mi zdrętwiała i nie poczułabym nawet, gdyby mi ją bestyjka obgryzła do kości. Żywiłam jednak nadzieję, że może jednak nie obgryzła, co prawda pracę miałam ręczno-umysłową, nie byłam baletnicą, ale odnóża dolne zawsze uważałam za wyjątkowo praktyczny wynalazek i wolałabym mieć nadal oba w całkiem niezłym stanie.

Myślałam, że gorzej być nie może. Durna, mogłam przewidzieć, że jeśli przemknie mi przez głowę coś takiego, to zaraz się zrobi dużo gorzej...

Wśród czających się na zewnątrz potworków zapanowało niezwykle poruszenie. Z początku nawet nie zauważyłam, że czymś się zaczęły niepokoić, ale kiedy spojrzałam w stronę okna, a tam nie było po nich śladu, za to z zewnątrz dochodziły jakieś dziwne hałasy, zorientowałam się, że coś jest mocno nie tak.

Tchórzliwy gderling też to zauważył i wczepił się w moją nogę jeszcze bardziej. Zabolało jak cholera, ale nie mogłam sobie pozwolić na bluzganie. Jeszcze by zapytali, dlaczego klnę... Z zaciśniętymi zębami wyjaśniłam rozmówcy, że muszę na fajkę, i owszem, w sali można palić, ale ja lubię na powietrzu. Dziwnie na mnie patrzył, jak wstawałam, powłócząc lewą nogą, ale wyjaśniłam, że zdrętwiała. Gdybym się znała na chorobach krążenia, tobym

skłamała, że jakąś mam, ale niestety, niedostatki wiedzy sprawiały, że musiałam się posiłkować zwyczajnym zdrętwieniem.

Wytoczyłam się jakoś z knajpy, szczerząc zęby w durnym uśmiechu i informując każdego, kto się gapił – a gapiła się większość – że „hahaha ależ mi noga zdrętwiała... i na fajkę idę”, machając wyciągniętym z pudełka papierosem. Czułam się jak jakaś zmutowana, częściowo zdrewniała wersja Pinokia, do tego hiperaspoleczna, bo wszyscy palili w knajpie, a ja odludek jeden się snobowałam i szłam na zewnątrz. Brrrr.

Gderling odważniejszy uznał, że lepiej nie zostawać samemu i wylazł za mną i za uczeptionym mojej nogi gderlingiem tchórzliwszym. Na szczęście niczego się nie łąpał, nie wbijał mi w nic pazurów i w ogóle mnie nie dotykał, bo targanie dwóch gderlingów przekraczało moje możliwości.

Z początku nie mogłam się w ogóle zorientować, o co chodzi. Gderlingi i ork stały zbite w grupkę na jednym końcu parkingu przed knajpą. Wydawały się być jakieś niespokojne i podekscytowane, popiskiwały, kilka gderlingów podskakiwało nerwowo. Ork... ork jak to ork, nic po nim nie było widać. Za to kicia robiła coś dziwnego... Biegała po parking, przyczajona, machając ogonem, ale nie jak wesoły kundelek, tylko bardziej złowrogo. Czasem się kuliała, czasem z nagła skakała albo machała łapą z wysuniętymi pazurami, rozbryzgując na wszystkie strony wodę z kałuż. Za cholerę nie mogłam pojąć, o co biega, póki nagle bestia nie miauknęła z bólem, a na jej nosie nie pojawiła się krwawa szrama.

Aż mi papieros wypadł z ręki.

Dziewicóżerna kicia z czymś walczyła. Z jakimś nieistniejącym potworem, którego ja nie widziałam, ale moje bestie tak. Ona nie tylko z nim walczyła, ona obrywała!

Nagle dostałam w plecy dubla drzwiami knajpy. Wychodził przez nie, wyjątkowo niezdarnie, jeden z programistów od gier. Nie kojarzyłam gościa, ale rzucał się na imprezie w oczy, bo miał nogę w gipsie i łąził o kuli.

Można przyjąć, że w tej chwili puściły mi nerwy.

Pierdolić to, że moje bestie mnie wkurzały, że ze wszystkich sił starałam się udawać normalną, tego durnego informatyka, który napatoczył się nie wiadomo skąd, wszystko pierdolić! Liczyło się tylko to, że jakaś nieistniejąca durna kreatura dała po mordzie MOJEJ bestyjce. Noż kurde, takich rzecz się nie robi. Nie mnie.

Wyrwałam chłopakowi szwedkę. Zachwiał się i ledwie utrzymał równowagę. Coś za mną wrzeszczał, ale nie słuchałam. Szybkim krokiem – biegać w tych cholernych szpilkach się nie dało – ruszyłam w stronę miejsca walki od razu biorąc zamach kulą i nie spuszczając oczu z kici. Patrząc na jej ataki i uniki, mogłam z dużym prawdopodobieństwem ocenić, gdzie znajdował się jej przeciwnik. I w to prawdopodobne miejsce grzmotnęłam z całej siły kulą. A co!

Trafiłam. Z miejsca, w które uderzyłam, poleciały kropelki wody. To coś musiało być tak samo przemoknięte jak moje bestyjki. I twarde. Aż mi się szwedka odbiła i odrzuciło mnie na kilka kroków do tyłu. Na środku parkingu coś zaskowyczało, a potem zapadła cisza. Totalna, absolutna cisza. Kicia była cicho, gderlingi zamilkły, ork jak zwykle przejawiał zerową

ekspresję. Odzyskując równowagę i stając pewniej na nogach, uświadomiłam sobie, że oni wszyscy nie tylko milczeli. Oni czekali. Na to, co ja zrobię.

Bądźmy szczerzy, gdybym widziała, z czym walczy kicia, niewykluczone, że zwiąłabym z prędkością światła. Albo zemdlął ze strachu. Albo sama nie wiem co, ale raczej nie leciałabym do ataku uzbrojona w kulę. Ale nie widziałam. I cokolwiek się czaiło w deszczu – smok, cthulu, hobgoblin – właśnie temu przywalałam i to tak, że zabołało.

W tej chwili czułam się jak skrzyżowanie Lary Croft z Czerwoną Sonją i nawet gdyby rozstąpiła się ziemia i wylazł z niej sam przedwieczny, zarobiłby taki wpierdol tą kulą, że przez najbliższe dziesięć eonów musiałyby spożywać kultystów wyłącznie w postaci płynnej tudzież zmiksowanej.

– Odpierdol się od mojej kici – wrzasnęłam w stronę miejsca, gdzie najpewniej znajdowała się moja ofiara. – Bo, kurde pożałujesz, ty halucynacja nedorobiona!

Tymczasem kulejący programista zdołał mnie jakoś dogonić. Mógł sobie gonić, nie miałam zamiaru oddawać mu kuli, póki zagrożenie nie minie. Nie wiedziałam tylko, po czym mam poznać, że minęło.

– Nie bij go – wydyszał informatyk, chwiejąc się obok mnie. – On tylko tak wygląda, jest nieszko...dli...wy – mówił coraz wolniej, jakby wraz z uruchomieniem dodatkowych procesów myślowych zmniejszały się zasoby procesora przeznaczone do podtrzymania funkcji mowy. – Twoja kicia? – zapytał jakoś tak desperacko, rozglądając się wokół, jakby próbował wypatrzeć, gdzie też ta moja kicia jest.

– On?

Popatrzyliśmy na siebie. Gość był średniego wzrostu, zaczynał łysieć od czubka głowy – dzięki obcasom szpilek byłam od niego wyższa o pół głowy i miałam doskonały widok na przeredzenia. Na wychudzonej twarzy malowało się coś jakby niedowierzanie połączone z nadzieją i szczęściem.

Oż kurde.

Zrozumiałam.

Mimowolnie rzuciłam okiem na czające się za mną bestie. Nie patrzyły na mnie, tylko na coś na plecami faceta. Też tam spojrzałam. Nic. Jedynie pustka i padający w nią deszcz. Zerknęłam na gościa. Patrzył na punkt za moimi plecami. Mniej więcej tam, gdzie stało stado moich bestii.

A potem przeniósł wzrok na mnie.

– Twoje? – zapytał drżącym głosem, wskazując palcem na parking z tyłu.

Kiwnęłam głową.

Chciałam zapytać, czy to coś, czego nie widziałam, a w co wgapiały się moje cholerniki, to jego urojone bestie, ale jakoś mi głos odebrało, więc tylko zrobiłam ruch brodą w tamtą stronę.

Informatyk skinął głową.

Czyli sytuacja wyglądała tak, że ja miałam swoje bestie, których nikt poza mną nie widział, on miał swoje bestie, których nie widział nikt poza nim, i oboje staliśmy, moknąc na deszczu na pustym parkingu. Hollywoodzki film normalnie, brakowało tylko błyskawicy, przesywającej nas prądem miłości i rzewnego podkładu w tle. I jak, cholera, ja miałam w takich warunkach nie wierzyć w przeznaczenie?

No dobrze, romantyczność sceny psuł fakt, że właśnie rąbnęłam jego bestyjkę w jakąś część korpusu. Nie był to najlepszy początek, ale czy w tym nieidealnym świecie można mówić o idealnych początkach, że tak pojadę w patos? W końcu trafił swój na swego, wariat na wariatkę z takimi samymi urojeniami... Dwie połówki pomarańczy i takie tam. Nieważne, że moje bestie powarkiwały w kierunku jego bestii, a tamte zapewne robiły to samo. To był detal do przeskoczenia, w każdym razie tak wtedy myślałam.

Nie wiem, kto powiedział, że myślenie szkodzi, ale, kurde, rację miał.

\*\*\*

Gdyby to był hollywoodzki film, padlibyśmy sobie tam, na tym parkingu, w tym deszczu, w ramiona. Gdyby to był film bollywoodzki, zaczęlibyśmy synchronicznie płasnąć, nasze bestie razem z nami, a z knajpy wybiegliby wszyscy imprezowicze i zaczęli robić za płasający trzeci plan. Ale ponieważ, jak już zostało wspomniane, to było tylko zwykłe szare życie, staliśmy jak dwa ćwoki naprzeciwko siebie. I stalibyśmy tak nadal, gdyby informatyk nie kichnął. Zepsuł nastrój chwili bezpowrotnie.

Uświadomiłam sobie, że dalej trzymam jego kulę, więc mu ją oddałam. Zaraz potem przyszła myśl, że właśnie ujawniłam się ze swoim wariactwem przed nieznanym gościem, który co gorsza był bez wątplenia szaleńcem, któremu się wydaje, że widzi wokół siebie potwory.

Tak, jasne, ja też miałam halucynacje i byłam wariatką, ale to co innego przecież.

Nagle nabrałam ochoty, żeby uciec. Odwróciłam się i związała, jak nic, gdyby nie to, że na nogach miałam te cholerne szpilki, a jak już wspomniałam, biegać się w nich nie dało. Dało się chodzić, truchtać albo połamać sobie nogi na superrównych lubelskich chodnikach, innych opcji w instrukcji użytkowania brakowało.

Poza tym, po przedstawieniu, jakie odstawiłam wychodząc z knajpy, ucieczka raczej by nie polepszyła mojej pozycji zawodowej...

Kto wie, może byśmy tak stali do skończenia świata, gdyby nie to, że z knajpy wyrzeli inni, zaintrygowani, czemu dwie osoby tak nagle ewakuowały się na zewnątrz. Wobec tego

wróciliśmy na imprezę, starannie utrzymując dystans kilku metrów od siebie. Moje bestie wlażyły do sali za mną, sądząc z parskania gderlingów, jego potwory zrobiły to samo. Tylko my dwoje zauważyliśmy, że w sali zrobiło się nagle cholernie tłoczno, duszno, a atmosfera robiła się jakaś przyciężkawa. Reszta towarzystwa bawiła się dalej, zupełnie nieświadoma, że co raz spod nóg umykają im zde gustowane gderlingi. Sądząc ze spanikowanych spojrzeń, jakie rzucał w puste miejsca po drugiej stronie sali programista, jego bestie, jakie by nie były, też wmieszały się w tłum i być może tak samo jak moje gderlingi zabierały się właśnie do ugryzienia w kostkę wiceprezesa...

Zmyłam się stamtąd raz-dwa, bo atmosfera robiła się nie do zniesienia. Dwadzieścia w miarę normalnych osób, dwoje wariatów i bliżej niesprecyzowana liczba bestii warczących na siebie wrogo... Nie, to ja już wolałam wrócić do domu. Na pewno jakiś serial leciał. A jeśli nie leciał, to ostatecznie byłam skłonna pogapić się na reklamy. Na debatę polityczną. Na cokolwiek, co byłoby mniej stresujące niż siedzenie w jednej sali z bandą własnych halucynacji, z gromadą ludzi, którzy nie powinni się dowiedzieć, że zwariowałam, z wariatem, który niestety już wiedział, że zwariowałam i jeszcze z halucynacjami tego faceta...

Kiedy wracałam do domu taksówką, przygnieciona przez kicię i pół stada gderlingów, to normalnie czułam się szczęśliwa. Zostawiałam przynajmniej jeden problem za sobą.

Przynajmniej na całe dwadzieścia godzin.

\*\*\*

Kiedy owe dwadzieścia godzin minęło, zadzwoniła moja komórka. Niewinna, bezrozumna maszynka wyświetliła numer zleceniodawcy, więc radośnie odebrałam, licząc, że pomiędzy durnogadkami o tym, jak to było wczoraj na imprezie, wypłynie kolejna robota do zrobienia, ba, może nawet za większą stawkę.

Ha, tyle że numer owszem, należał do biura zleceniodawcy, ale bynajmniej nie dzwoniła z niego przemiła pani Hania z propozycją kolejnej umowy, tylko Michał Jakiśtam. Niewyraźnie się przedstawił, ale to i tak nie miało znaczenia, bo go nie kojarzyłam. W każdym razie do chwili, kiedy wydusił z siebie:

– Myśmy się wczoraj spotkali. Na parkingu. My... i one.

Zesztywniałam. Autentycznie, władzę mi odjęło w rękach, nogach i szczęce. Gdyby nie odjęło, to jak nic warknęłabym „pomyłka” i odłożyła słuchawkę. Albo nawet odłożyła bez żadnego warknięcia. Ale że ciało odmówiło współpracy, jedyne co mogłam, to trwać ze słuchawką na uchu i słuchać, jak ten Michał nerwowo mnie zapewnia, że nie jest wariatem, że powinniśmy się spotkać, że sam nie wie, skąd się te bestie wzięły, że po prostu pewnego dnia pierwsza przyszła, a potem następne, że nawet chciał do lekarza iść, ale nie wyszło, że one jednak nie są takie złe, te jaszczury, co prawda zbudowały sobie miniwioskę w piwnicy bloku, ale za to rozwiązały problem szczurów, nad którym od pół roku głowiła się cała wspólnota mieszkaniowa, nie mogąc dojść do porozumienia... I tak gadał, i gadał, rozkręcał

się coraz bardziej, aż w końcu doszedł do sedna: powinniśmy się spotkać. Koniecznie. Ze względu na wspólnotę doświadczeń, może moglibyśmy sobie jakoś nawzajem pomóc, wymienić się spostrzeżeniami...

No wariat, jak nic. Nie dość, że sam zwariował, to wykorzystując moje... ekhm... osłabienie psychiczne, chciał mnie wciągnąć w świat swoich urojeń. Poza tym, jak on sobie, do cholery, wyobrażał spotkanie? Przecież nasze bestie się pozagryzają! Będzie jatka halucynacyjna, jak nic. Nie, no, gdyby ten gość już nie był wariatem, to powiedziałabym, że zwariował.

Umówiliśmy się na następny dzień, o szóstej rano, na parkingu pod skansenem. Pora i miejsce wcale nie takie idiotyczne, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało – raz, o szóstej rano nikogo tam nie będzie. W ogóle w okolicy nikt się nie będzie pętał. Dwa, parking był duży, w razie potrzeby mogliśmy się trzymać każde na swoim końcu ze swoimi bestiami. Trzy... no, widać pisane było nam spotkanie się na parkingach. Pierdolony romantyzm, jak nic.

Nie, no, nie zakochaliśmy się w sobie. Ani na tym parkingu przed knajpą, ani na parkingu przed skansenem, ani na żadnym innym. Nic z tych rzeczy. W takich warunkach? Z bestykami dyszącymi za plecami? Niemniej chyba i mnie, i jemu jednocześnie zaświtało w głowach, że w sumie oboje mamy te same problemy – chociaż żadne z nas nie podejmowało się stwierdzenia kategorycznie, czy problemem jest to, że zwariowaliśmy, czy że rzeczywiście nas prześladują bestie z gier i książek – podobne doświadczenia, skazujące nas do tego na samotność wśród ludzi... Dwie samotne wyspy w oceanie normalności, czy jakoś tak. Krótko mówiąc, oboje dostrzeżliśmy, że istnieje całkiem niezła baza, na której można by zbudować – no dobra, użyję tego słowa – związek, zamiast pogrążyć się samotnie w morzu szaleństwa. No luz, od gorszych rzeczy ludzie zaczęli i im wychodziło.

Czasami.

Wszystko ładnie wyglądało w teorii, ale jak już wspomniałam zdaje się, życie to NIE jest ani teoria, ani hollywoodzki film. Życie to bolesna praktyka z przeszkodami nie do przeskoczenia i nie wiem, kto powiedział, że to, co może łączyć, może też dzielić, i czy w ogóle ktoś to powiedział, ale jeśli tak, to cholernie mądry człowiek to był.

Problemem były nasze bestie. Nie lubiły się i tyle. Najchętniej by się znowu pożarły, tak jak wtedy na parkingu, ale skądś wiedziały, że nie można. Więc tylko łypały na siebie podejrzliwie i powarkiwały – w każdym razie moje to robiły, Michał twierdził, że jego robią to samo. Normalnie aż się cisnęło na usta porównanie do Romea i Juli, tyle że byliśmy od nich starsi, mądrzejsi, a zamiast skłóconych rodzin mieliśmy nietrawiące się wzajemnie urojenia. Nie wiem, czy któreś z nas wierzyło, że jak państwo się dogadają, to bestyjki też... Takiego wała, że tak powiem. Nienawidziły się jeszcze bardziej, a do tego jeszcze bardziej kurczowo trzymały się nas, nie odstępując ani na krok. Okropność.

Primo, źle się gada i socjalizuje, gdy ma się obok stado zjeżonych potworów. To po prostu psuje nastrój, atmosferę i nawet tuzin róż, świece i „pościelowa” dobiegająca cicho z głośników tego nie są w stanie zmienić.

Secundo, każde brało stronę swoich bestii. Co tu dużo mówić, każde z nas miało swoje „stado” i tyle. I nie było szans na to, żeby te stada się połączyły albo przynajmniej w miarę pokojowo koegzystowały. Mnie się cały czas wydawało, że jaszczury tylko czyhają na chwilę, kiedy któryś z moich gderlingów odłączy się od grupy... Wtedy go dopadną



i zmasakrują, jak nic, podstępne paskudy. Więc nie dość, że kiedy Michał był w pobliżu, to cały czas rozglądałam się nerwowo, czy któryś z moich cholerników nie lata luzem. I zerkałam podejrzliwie na pustą przestrzeń wokół Michała, próbując tam dostrzec czające się jaszczury. On gapił się tak samo w punkt tuż za moim ramieniem. Idealne okoliczności do romantycznych randek, nie ma co...

No i tertio, wciąż nie mogliśmy przemóc nieufności. Cały czas nam się wydawało, że ta druga osoba wcale nie jest aż tak szurnięta i z jakichś powodów udaje. Żeby sobie z nas zakpić, wrobić nas w coś, eksperyment psychologiczny przeprowadzić... Możliwości było mnóstwo i co jakiś czas wybuchała z ich powodu awantura pełna wzajemnych oskarżeń. Słowem, wpadaliśmy w paranoję.

No i do tego, bądźmy szczerzy, seks leżał. To znaczy nie leżał w sensie, że na leżąco i klasycznie, ale no, leżał. Martwym karaluchem. Nie żebym się za jakąś hiperseksbombę miała i oczekiwała w łóżku erupcji wulkanu Etna, ale może chociaż jakieś małe fajerwerki? Zimne ognie? Ale trudno się seksić, kiedy nagle partner zamiera ze spłoszonym wyrazem twarzy, koniec akcji, a on coś mruczy pod nosem, że nie może, bo jego jaszczur wlaźł do sypialni, siedzi na stoliku i się na niego gapi. Łypiąc ślepiami z potępieniem i dezaprobatą. No fakt, jak z miernym, to nic dziwnego, że wszystko opadło... Albo jaszczura nie ma, drzwi zamknięte, nic się nie wślizgnęło do pokoju, jest fajnie, jest miło... jest gderling stojący miny za oknem... Baj, baj szczyty orgazmu i takie tam. W takich warunkach się zwyczajnie NIE DA. No, chyba że ktoś szczególne upodobania ma. My akurat, pechowo, nie mieliśmy. Nie wspominając o tym, że przeszukiwanie pomieszczenia w celu wykrycia wymyślonych potworów, które mogłyby nas podglądać w trakcie i zasłanianie okien oraz dziurek od klucza z tego samego powodu, to wyjątkowo nędzna gra wstępna... Do tego durnie się człowiek czuje, kiedy odstawia takie cyrki w czyjejs obecności. Nawet jeśli ta druga osoba ponoć też ma swoje zwidy...

Krótko mówiąc, to, co miało fajnie wyjść, połączyć dwie samotne wysepki i takie tam, nie wypaliło na całej linii, a nawet bardziej. Zamiast robić za oazę spokoju, ukojenia i zrozumienia, przerodziło się w źródło totalnej frustracji. Może lepiej byłoby się po prostu rozstać i o sobie zapomnieć, ale na to byliśmy już zbyt zirytowani i przeżarci paranoją. Trwaliśmy przy sobie ze strachu, że jeśli jedno odejdzie, to drugie z zemsty ujawni jego szaleństwo świata. Jasne, głupota, tak na logikę, to żadnemu z nas nie zależało na ujawnianiu czegokolwiek, poza tym, gdybym na przykład ja ogłosiła, jakie Michał ma urojenia, to on by bez wątplenia zrewanżował się tym samym... Ale myśmy już dawno nie myśleli logicznie.

Umknęło nam nawet to, że nasze bestie jakby mniej na siebie warczą i rwą się do walki. Za bardzo je pochłaniało obserwowanie ze zdumieniem złośliwych, podejrzliwych monstrów, w które zmienili się ich państwo. Może gdybyśmy to zauważyli wszystko byłoby inaczej... Tylko że to inaczej niekoniecznie oznaczałoby lepiej, niestety.

Jako że sytuacja między nami przedstawiała się, jak się przedstawiała, nic dziwnego, że zlekceważyłam uwagi Michała o tym, że chyba ktoś go śledzi. Szczerze mówiąc, nie tylko zlekceważyłam – wyśmiałam je równo, stwierdzając przy tym, że mu się obłąd pogłębia. Coś tam jeszcze mruczał pod nosem przez kilka dni, ale ja tylko chichotałam drwiąco.

A potem przyniósł martwego jaszczura.

Doprecyzujmy: twierdził, że przyniósł. Czy tak było naprawdę, cholera go wie, bo ja jego bestii nie widziałam. Gderlingi co prawda wyglądały na zainteresowane i głód im w oczach błyszczał, a z kłów ślinka leciała, ale to wcale nie znaczyło, że na rękach Michała w ogóle było jakieś truchło.

Nigdy nie miałam zadatków na współczującą i wspierającą niewiastę, a już, kurde, na pewno nie wtedy, kiedy dopadły mnie szaleństwo i paranoja. Wyśmiałam go i to tak, że aż gderlingi zapomniwały o żarciu i patrzyły na mnie ze zdumieniem. Michał płakał nad tym iluzorycznym trupkiem, a ja się śmiałam. Wzgardliwie.

No dobra, w tym momencie wyszła ze mnie najwredniejsza suka świata. Bezczelnie zwałę winę na ogarniające mnie szaleństwo.

Żeby było zabawniej, wyszło, że przy okazji odkryłam sposób, jak się pozbyć bestii. Nie, nie zabijając. Po prostu od tego dnia, kiedy wyśmiałam rozpaczającego Michała, moje bestie coraz rzadziej łąziły za mną, a coraz częściej za nim.

Z początku tego nie zauważyłam. Ot, czasem były obok, czasem gdzieś sobie lazły, ale dopiero po paru dniach odkryłam, że nie gdzieś, tylko ZA NIM. Najpierw wzruszyłam ramionami – chcą, niech se leżą. Ale bardzo szybko zaczęło mnie to wkurwiać i to niemożliwie. To były MOJE bestie. Chrzanić fakt, że chciałam się ich pozbyć. Chrzanić fakt, że rozwały mi związek. Wszystko chrzanić. Były moje, a nie tego podstępnego, lalusiowatego głupka. Oczywiście nie zrobiłam mu awantury, chociaż miałam ochotę. Nie chciałam mu pokazać, że ma coś, czego ja chcę.

Ja się wkurwiałam w duchu, a tymczasem on zaczął je widzieć. Serio. Nie wiem jak, nie wiem kiedy, nie wiem gdzie, ale któregoś dnia przyłapałam go na tym, że głąskał kicię. Moją kicię. I to nie tak na oślep, tylko zwyczajnie, regularnie głąskał.

W jednej chwili przestałam dusić furię w sobie, a pozwoliłam jej wylać się strumieniem żółci na zewnątrz. Wypierdzieliłam ich wszystkich z domu, Michała, jego bestie, moje bestie. Zakazałam im pokazywać się mi na oczy. Niech sobie mieszkają u niego i razem z nim wariują, jeśli tak, to ja sobie będę żyła sama. Normalnie! Bez żadnych halucynacji, chce, to niech je sobie zabiera!

No i sobie poszli.

Wszyscy. Michał, jego bestie, gderlingi, kicia – nawet ork podniósł się z wycieraczki sąsiadów i ruszył za nimi. Wyglądałam z okna na tę dziwną kawalkadę, aż zniknęli mi z oczu. I już. Z głowy. Wariactwo poszło w cholere, byłam wolna, normalna i zdrowa na umyśle. I nareszcie sama.

Ta samotność już po kilku godzinach zaczęła mi bokiem wychodzić.

No dobra, fajnie, nikt mi po mieszkaniu nie łązi, nikt nie chrapie, nie kruszy sąsiadom na wycieraczce, nie grzebie mi w szafkach, nie wyżera surowego makaronu, nie stroi min za szybą, nie zagradza przejścia... Luz i szczęście normalnie, tego chciałam.

Nie muszę zadawać sobie pytania, czy naprawdę zwariowałam, nie muszę się bać, że moje wariactwo wyjdzie na jaw. Wróciłam do normalności, cudownie, no nie?

Pierwszego dnia jeszcze się jako tako trzymałam. Drugiego latałam od okna do wizjera, żeby sprawdzić, czy przypadkiem na rajskich jabłonkach nie ma gderlingów, a na wycieraczkę u sąsiadów orka. Trzeciego dostałam autentycznego załamania nerwowego, włącznie z tarzaniem się i szlochaniem w dywan, w miejscu gdzie zwykle leżała kicia. Piątego się poddałam.

Trudno, cholera, widać normalne życie nie jest dla mnie. Raz wariat – zawsze wariat, a nie ma nic bardziej żalnego od wariata, którego podle i chamsko opuściły jego własne urojenia. JEJ własne. Moje własne.

Chciałam, żeby wróciły. Chciałam, żeby troska o to, czy nie zdemolują kolejnego placu zabaw spędzała mi sen z powiek. Chciałam, żeby kicia chrapała. Chciałam znowu drzeć na myśl, że muszę wyjść z domu z gromadą halucynacji przy boku i uważać, żeby się przed ludźmi z własnym szaleństwem nie ujawnić. Żeby było jak dawniej...

Nawet byłam skłonna przyjąć z powrotem Michała, jeśli to było niezbędne. Trudno, mogę tkwić w paranoicznym i pełnym frustracji związku, ale tylko i wyłącznie wtedy, kiedy do kompletu z szurniętym facetem dostanę moje bestie! Jeśli to było konieczne, mogłam go nawet przeprosić. Ostatecznie. Za wyśmiewanie jego paranoi, za drwienie z truchła jego jaszczura...

Oż kurde.

Właśnie wtedy sobie uświadomiłam, że może Michał paranoi nie miał, ale rację i owszem... Może rzeczywiście ktoś za nim chodził. Może ten ktoś polował na jego bestie. Gorzej: może ten ktoś polował nie tylko na jego bestie, ale i na moje bestie, które z nim poszły!

Logiczny wniosek, jak by nie patrzeć. Logika wpędziła mnie w panikę i to naprawdę wielką. Ręce mi się trzęsły, kiedy wybierałam numer Michała, najpierw komórkę, potem domowy, potem znowu komórkę... Po jakimś kwadransie bezmyślnego dzwonienia to na jeden, to na drugi i wsłuchiwanie się w sygnał, przyszło mi do łba, że z tego mi nic, ale to nic nie przyjdzie. Mogę tak do skończenia świata stać i dzwonić, a Michał może nie odbierać telefonu, bo mu się mój numer wyświetla, a on nie ma ochoty ze mną gadać. Na przykład. Może leży gdzieś martwy, przygnieciony ciałami bestii i mimo że w kieszeni dzwoni mu komórka, to nie ma jej komu odebrać...

Wyobraźnia – straszna rzecz. Rzuciłam słuchawkę i w te pędy wybiegłam z domu. Po trzydziestu sekundach wróciłam, żeby zmienić szlafrok na coś, w czym dało się ganiać po mieście w poszukiwaniu zmyślonych potworów, nie zwracając przy tym na siebie uwagi.

Najpierw pobiegłam do mieszkania Michała. No, niezupełnie pobiegłam. Metodą abordażu – wypadnięcie na ulicę prosto pod koła i wdarcie się do środka stojącego z piskiem opon samochodu – zatrzymałam taksówkę. Kierowca albo lubił adrenalinę, albo bał się wariatów, bo zawiózł mnie na miejsce bez protestów i jeszcze łamiąc wszystkie ograniczenia prędkości.

W domu Michała ani bestii nie było. Dowiedziałam się od sąsiadki, która po pięciu minutach nie zdzierżyła mojego walenia pięściami w drzwi, że wyszedł gdzieś rano. Gdzie, nie wiedziała i nie była skłonna nawet dywagować. Prościej mówiąc, zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Nici z osobowego źródła informacji.

Nie miałam pojęcia, gdzie mogli pójść. W związku z tym zrobiłam jedyne, co mi przyszło na myśl: obeszłam całe miasto, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc, co do których podejrzewałam, że Michał mógłby je lubić, i placów zabaw.

Nic.

Oprócz tego, że cholernie rozboleły mnie nogi, byłam koszmarnie głodna i zziębnięta, bo w międzyczasie zdążył nadejść wieczór. Kicha do kwadratu.

Właściwie miałam już wracać do domu, przykryć się kocem i pograć w beznadziei, ale akurat na przystanek, na którym tak stałam, rozpaczając i ogólnie robiąc za tragiczną heroinę, podjechał autobus. Osiemnastka, jadąca akurat pod skansen, tam, gdzie spotkaliśmy się po raz drugi... Noż kurde, romantyzm i przeznaczenie same mi się w łapy pchały, więc skorzystałam.

Głupia ja.

Dojechałam pod skansen, wysiadłam, przeszłam przez ulicę na parking. I dopiero wtedy ich zobaczyłam, chociaż „zobaczyłam” to niewłaściwe słowo. Owszem, Michała widziałam, ale bestie... Były tam, na pewno, dostrzegałam ich kontury, błysk zębów, ruch tam, gdzie nie powinno go być... Ale nie widziałam ich samych. Już nie.

Muszę przyznać, że nieźle mnie to rąbnęło. To już nie były moje bestie. Wybrały jego, on je widział, a ja pewnie za kilka dni, może już jutro, będę je mijała na ulicy, nie dostrzegając. Zabolało.

Właściwie, nie zabolalo. Zabolalo to za mało powiedziane. Rąbnęło mnie jak obuchem, gdyby nie to, że obok litościwie rosło drzewo, o które mogłam się oprzeć, tobym klapnęła z wrażenia zadem na ziemię. A tak tylko się zachwiałam.

Głupio to brzmi, ale czułam, jakbym straciła coś swojego. Coś, jakby część ciała, element układanki, po którym zostanie puste miejsce. I to straciła nieodwracalnie. Pieprzyć zdrowie psychiczne, odzyskanie go za dużo mnie kosztowało.

Cholera wie, co ja bym tam pod tym drzewem robiła, zwłaszcza że najbardziej miałam ochotę zawodzić w głos na podobieństwo kojota na prerii, gdyby nie to, że skądś, szczerze mówiąc sama nie wiem skąd, na parking wkroczyła nowa postać.

Ciemno już było, ale nie na tyle, żebym nie mogła się mu dobrze przyjrzeć, zwłaszcza że miły człowiek ledwie wkroczył, a już stanął pod latarnią. I dobrze, bo szkoda by było, żeby taki widok w mroku się zmarnował...

Przybyły miał twarz Gerarda Butlera, ciało Gerarda Butlera – przynajmniej porównując z tymi kawałkami, które było widać w „300” – i w ogóle wyglądał prawie jak Gerard. Prawie, bo to, że to jednak prawdziwy Gerard nie był, nawet mój skupiony na ślinieniu się z pożądania mózg był w stanie zarejestrować. No dobrze, może przejście w trzydzieści sekund od ślania się z rozpachy do ślinienia się z zupełnie przeciwnego powodu nie świadczy o mnie najlepiej, ale trudno, spójrzmy prawdzie w oczy – płytka jestem. I wyposzczona. A, i jeszcze coś – śliczny gościu miał bardzo dużą spluwę, która moim

skromnym zdaniem kompletnego laika, którego cała wiedza pochodzi z filmów, wyglądała na coś a la karabin maszynowy.

Właściwie, mogę pokusić się o stwierdzenie, że to był karabin maszynowy, w każdym razie kiedy gość zaczął z niego strzelać, wyglądało to zupełnie jak na filmie z Rambo. Tylko że zamiast kosić serią złych ludzi, strzelał do bestii.

W kilka sekund spokojny parking zmienił się w miejsce jatki, a to, że przedmiotów jatkowania nie było widać, wcale nie sprawiało, że rzeź była mniej straszna. Słyszałam rozpaczliwe krzyki Michała, czasem do moich uszu dobiegał dochodzący jakby z oddali jęk czy ryk. Nie widziałam, co kule robiły z bestiami – może to i lepiej. Miałam tylko wrażenie, że te niewyraźne kształty nacierają na gościa ze spluwą, a on strzela z całego arsenału broni, który najwyraźniej ze sobą przytargał.

W życiu nie widziałam niczego straszniejszego. W każdym razie tak mi się wydawało, dopóki nie poczułam, że coś mnie łapie za nogę. Prawie wrzasnęłam, ale tylko prawie. Dotyk był znajomy, tak robił najchórzliwszy z gderlingów. Nie widziałam go już, ale czułam. Trzymał mnie przez chwilę, a potem puścił. Bez jednego dźwięku, nie miałam pojęcia, czy sobie poszedł, padł martwy, cholera wie co...

I tego było dla mnie już jakby za dużo. Szaleństwo szaleństwem, utrata zmysłów utratą zmysłów, rozpacz rozpaczą, ślinotok ślinotokiem, ale ja właśnie osiągnęłam moją osobistą granicę, której nie miałam zamiaru przekraczać.

Poszłam sobie stamtąd. Najzwyczajniej w świecie okręciłam się na pięcie i poszłam sobie. Nie oglądałam się za siebie, nie zwracałam uwagi na dobiegające z tyłu hałasy, odcięłam się totalnie. Dokonałam psychicznego katharsis, czy jakoś tak. Byłam znowu zdrowa, normalna i gotowa powrócić do mojego normalnego, zwyczajnego życia. Bez rozpaczania i oglądania się za siebie.

Zwyczajnego życia z pewnymi niezbędnymi zmianami, rzecz jasna.

Pizgnęłam całą tę fantastykę w cholere. Takiego wała, nie miałam zamiaru ryzykować, że znowu mi odbije i zaczną mi jakieś hobity czy inne balrogi deptać trawnik osiedlowy. Co to, to nie. Nie po to pozbyłam się jednych, żeby sobie zmagazyć następne. Nie ma mowy, byłam po tamtej stronie normalności, owszem, może i było tam ciekawie, ale wracać nie mam zamiaru. To było jak podróż do egzotycznych krajów, w których nie powiem, widoczki nawet nieźle, ale przez żarcie ma się gigantyczną sraczkę.

No więc odzyskałam zdrowie psychiczne, rzuciłam fantastykę, zatrzymałam tylko moje odchudzone ciało i nałóg. Rzucenie fajek przekroczyło moje możliwości.

Oczywiście z czegoś musiałam się utrzymywać. Fanfiki, podręczniki RPG i inne tym podobne nie wchodziły w grę. Jako jednostka o świeżo oczyszczonej duszy, psychice i paru innych zahaczyłam się w wydawnictwie specjalizującym się w poradnikach. „Jak zdobyć miłość”, „Jak przestać kochać”, „Jak jeść dużo kalorycznych potraw i nie tyć” – no i dzieło, które właśnie skończyłam: „Rozpocznij nowe, lepsze życie metodą drogi do Shangri La”.

Jest tylko jeden problem. Co wychodzę po fajki, to mijam siedzącego na klatce schodowej łysego gościa w pomarańczowym prześcieradle, który, kręcąc swoim bębenkiem

modlitewnym, woła do mnie, że wyzwolenie się z nałogu będzie pierwszym krokiem na drodze ku mojemu nowemu, lepszemu życiu.

Na wypadek, gdyby pojawiło się takich kaznodziei więcej, kupiłam gaz. I postarałam się o zlecenie na tłumaczenie romansów. Bohater tego, za który właśnie się biorę, z opisu przypomina Gerarda Butlera. Ciekawe, jaki będzie w realu.